

PINOKIO

CARLO COLLODI

I

Jak to się stało, że majster Wisienka, stolarz, znalazł kawałek drzewa, który płakał i śmiał się jak dziecko

Był sobie raz...

— Król! — powiedzą od razu moi mali czytelnicy.

Nie, dzieci, pomyliłyście się. Był sobie raz kawałek drzewa. Nie było to drzewo szlachetnego rodzaju, tylko zwykły kawał pniaka z takich, jakie zimą wkłada się do pieców i kominków dla rozniecenia ognia i ogrzewania izb.

Nie wiem, jak się to stało, dość że pewnego pięknego dnia ten kawałek drzewa dostał się do pracowni starego stolarza, który nazywał się majster Antonio, chociaż wszyscy nazywali go majstrem Wisienką, a to z powodu koniuszka nosa zawsze świecącego i fioletowego jak dojrziała wiśnia.

Gdy tylko majster Antonio ujrzał ten kawałek drzewa, uradował się bardzo i zacierając ręce z zadowoleniem mruknął półgłosem:

— Ten kawał drzewa znalazł się tu w samą porę; przyda mi się do zrobienia nogi do stolika.

Powiedziawszy to, chwycił zaraz wyostrzoną siekierę, żeby odłupać korę i obciosać drzewo, ale kiedy już miał wymierzyć pierwsze uderzenie, ręka zawisła mu w powietrzu, ponieważ usłyszał cichuteńki, cichuteńki głosik, który mówił błagalnie:

— Nie bij mnie zbyt silnie!...

Wyobraźcie sobie, jak się zdziwił zacny, stary majster Wisienka. Zdumionym wzrokiem zaczął wodzić po całej izbie, żeby zobaczyć, skąd mógł wyjść ten głosik, ale nie ujrzał nikogo! Zajrzał pod warsztat — nikogo; zajrzał do szafy, która zawsze była zamknięta — nikogo; zajrzał do kosza na wióry i trociny — nikogo; otworzył drzwi pracowni, żeby nawet na ulicę spojrzeć — nikogo! No więc?...

— Rozumiem — powiedział śmiejąc się i drapiąc w perukę - widocznie sam sobie uroiłem ten głosik. Weźmy się do pracy!

Ująwszy ponownie siekierę, wymierzył w drzewo siarczyste uderzenie.

- Aj! Boli! — zawołał żałośliwie ten sam głosik.

Tym razem majster Antonio zupełnie osłupiał; stał z wybałuszonymi ze strachu oczami, z rozdziawioną gębą i językiem wywalonym na brodę, niby jedna z tych maszkar, co to zdobią wodotryski. Zaledwie odzyskał mowę, zaczął powtarzać drżąc i bełkocąc z przerażenia:

— Skąd mógł wydostać się ten głosik, co zawołał „Aj”?... Przecież tu nie ma żadnej żywej istoty. Czyżby przypadkiem ten kawałek drzewa nauczył się płakać i żalić jak dziecko? Nie mogę w to uwierzyć! Oto jest ten kawałek drzewa; wszak to zwyczajne drewno, które służy do palenia na kominku, a także do ugotowania garnka fasoli... A zatem? Może tam wewnątrz ktoś się ukrył? Jeżeli ktoś się tam ukrył, tym gorzej dla niego. Już ja go urządzę! — Mówiąc to chwycił oburącz nieszczęsny kawałek drzewa i niemiłosiernie zaczął nim walić o ściany izby.

Potem nadstawił ucha, czy nie słyhać żalącego się głosiku. Przeczekał dwie minuty, i nic; pięć minut, i nic; dziesięć minut, i nic!

— Rozumiem — powiedział wówczas siląc się na śmiech i czochrając perukę — widać, ja sam uroiłem sobie ten głosik, który zawołał „Aj!” Wracajmy do roboty.

A ponieważ zdjął go ogromny strach, zaczął sobie przyśpiewywać, aby nabrać odwagi. Za czym, odłożywszy na bok siekiere, ujął hebel, żeby oheblować i wygładzić dokładnie ów kawałek drzewa; ale zaledwie zaczął go heblować tu i tam, usłyszał ten sam głosik, który odezwał się do niego ze śmiechem:

— Przestań! Łaskoczesz mnie po całym ciele!

Tym razem biedny majster Wisienka upadł jak rażony piorunem.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył, że siedzi na ziemi. Twarz jego wydawała się zmieniona, a nawet koniuszek nosa z fioletowego, jakim był zazwyczaj, stał się z wielkiego strachu niebieski.

II

*Majster Wisienka ofiarowuje kawałek drzewa swojemu przyjacielowi imieniem Dżeppetto;
pragnie on wystrugać cudownego pajaca, który potrafiłby tańczyć,
fechtować się i robić karkołomne skoki*

W tejże chwili zapukano do drzwi.

— Wejdźcie! — odezwał się stolarz, nie mając siły stanąć na nogach.

Do warsztatu wszedł rześki jeszcze staruszek, imieniem Dżeppetto*, którego chłopcy z sąsiedztwa, ilekroć chcieli doprowadzić do wściekłości, przezywali „Mamałygą” z powodu jego żółtej peruki, która była bardzo podobna do ciasta z mąki kukurydzianej.

Dżeppetto był nader popędliwy. Biada temu, kto go nazwał Mamałygą! Od razu wpadał w szalony gniew i w żaden sposób nie można go było poskromić.

— Dzień dobry, majstrze Antonio! — rzekł Dżeppetto. — Cóż to robicie siedząc na ziemi?

— Uczę mrówki tabliczki mnożenia.

— Oby wam się udało!

— Co was sprowadza do mnie, kumie Dżeppetto?

— Nogi. Muszę wam powiedzieć, majstrze Antonio, że przychodzę do was z wielką prośbą.

— Jestem do waszych usług — odparł stolarz unosząc się na kolana.

— Dziś rano wpadł mi do głowy jeden pomysł.

— Posłuchajmy.

— Umyśliłem sobie wystrugać z drzewa ładnego pajaca, ale takiego cudownego, który by umiał tańczyć, fechtować się i robić karkołomne skoki. Z tym pajacem chcę wędrować po świecie, ażeby zarobić sobie na kawałek chleba i szklaneczkę wina. Cóż wy na to?

— Brawo, Mamałyga! — zawołał znany głosik, który nie wiadomo skąd wychodził.

Usłyszawszy, że go przezwano Mamałygą, **kurni** Dżeppetto poczerwieniał ze złości jak papryka i, zwracając się do stolarza, zawołał rozsierdzony:

— Dlaczego mi ubliżacie?!

— Kto wam ubliża?

— Nazwaliście mnie Mamałygą!...

— To nie ja.

— Wyjdzie na to, że to ja sam powiedziałem. A ja mówię, że to wy.

— Nie!

* Dżeppetto oznacza po włosku zdrobniałe imię Józef.

— Tak!
— Nie!
— Tak!

Zaperzając się coraz bardziej, od słów przeszli do czynów i, chwyciwszy się za peruki, zaczęli się nawzajem drapać, kęsać i miętosić.

Po skończonej bitce Antonio ujrzał w swoich rękach żółtą perukę Dżeppetta, a Dżeppetto spostrzegł, że trzyma w zębach siwą perukę stolarza.

— Oddaj mi moją perukę! — zawołał majster Antonio.

— A ty oddaj mi moją i zawrzyjmy pokój.

I obaj staruszkowie, odebrawszy swoje peruki, uścisnęli sobie ręce i przysięgli pozostać przyjaciółmi na całe życie.

— A teraz, kumie Dżeppetto — powiedział stolarz na znak zawarcia pokoju — jakiejże to przysługi żądacie ode mnie?

— Chciałbym dostać kawałek drzewa, żeby sporządzić Pajaca. Dacie mi go?

Majster Antonio, ogromnie zadowolony, podszedł czym prędzej do stolarskiego stołu i wziął ów kawałek drzewa, który go nabawił takiego strachu. Ale kiedy już miał go wręczyć przyjacielowi, kawałek drzewa poruszył się gwałtownie i, wysliznąwszy się przemocą z jego rąk, zaczął z całych sił walić biednego Dżeppetta po wychudłych goleniach.

— Ach! To tak uprzejmie wręczacie mi swój podarunek, majstrze Antonio! Omal żeście mnie nie okulawili!...

— Przysięgam wam, że to nie ja.

— A więc to pewnie ja sam!...

— To wina tego drewna...

— Ja wiem, że to drewno; ale to wy tłukliście mnie po nogach!

— Ja was nie tłukłem!

— Kłamca!

— Dżeppetto, nie obrażajcie mnie, bo inaczej nazwę was Mamałygą!

— Osioł!

— Mamałyga!

— Głupiec!

— Mamałyga!

— Przebrzydły koczkodan!

— Mamałyga!

Kiedy usłyszał, że po raz trzeci przezywają go Mamałyga, Dżeppetto wpadł w szaf i rzucił się na stolarza; wtedy obaj zaczęli się okładać co niemiara.

Po skończonej bójce majster Antonio miał na nosie o dwa zadrapania więcej, a Dżeppetto — o dwa guziki mniej na kaftanie. Wyrównawszy w ten sposób swoje porachunki, uścisnęli sobie ręce i przysięgli, że pozostaną dobrymi przyjaciółmi na całe życie. Za czym Dżeppetto zabrał ten chwacki kawał drzewa i, podziękowawszy majstrowi Antonio, wrócił kuśtykając do domu.

III

Wróciwszy do domu Dżeppetto przystępuje natychmiast do sporządzenia pajaca i nadaje mu imię Pinokio. Pierwsze psoty pajaca

Mieszkanie Dżeppetta była to izdebka na parterze, która miała tyle światła, ile go dochodziło spod schodów. Urządzenie izdebki nie mogło być skromniejsze: lichey zydelek, nędzne łóżko i okropnie zniszczony stolik. Na ścianie w głębi widać było kominek, na którym płonął ogień;

ale ogień był namalowany, a nad nim namalowany był garnek, który kipiał wesoło i buchał kłębem pary, która wyglądała zupełnie jak prawdziwa.

Wszedłszy do izby, Dżeppetto wziął narzędzia i zaczął strugać pajaca.

— Jakie mu nadać imię? — mrucał do siebie. — Nazwę go Pinokio. To imię przyniesie mu szczęście. Znałem całą rodzinę Pinokiów: Pinokio-ojciec, Pinokio-matka, dzieci też Pinokie; wszystkim doskonale się wiodło. Najbogatszy z nich chodził na żebry.

Kiedy już znalazł imię dla swego pajaca, zabrał się na dobre do pracy i zrobił mu najpierw włosy, potem czoło, potem oczy. Gdy już wystrugał oczy, wyobraźcie sobie jego zdumienie, kiedy spostrzegł, że oczy poruszały się i przesywały go na wskroś.

Widząc, że te oczy z drzewa patrzą na niego, Dżeppetto niemal się obraził i rzekł ze złością:

— Drewniane ślepie, czemu patrzycie na mnie? Nikt nie odpowiedział. Zrobiwszy oczy, wystrugał mu nos; ale ten nos, ledwie wykończony, zaczął rosnać i rósł, rósł, aż po kilku minutach wyrósł w nosisko ogromnej długości. Biedny Dżeppetto silił się, żeby go przyciąć, ale im więcej go przycinał i przykrócał, tym bardziej się wydłużał ów beczelny nos. Skończywszy nos, zrobił mu usta. Usta te nie były jeszcze gotowa, a już zaczęły się śmiać i pokpiwać sobie z niego.

— Przestań się śmiać! — huknął rozgniewany Dżeppetto, ale było to, jak gdyby mówił do ściany. — Przestań się śmiać, powtarzam ci! — zaryczał groźnym głosem.

Wtedy usta przestały się śmiać, ale wysunęły język na całą długość. Nie chcąc zepsuć swojej roboty, Dżeppetto udał, że tego nie zauważył, i pracował dalej.

Po ustach wystrugał mu brodę, potem szyję, barki, brzuszek, ramiona i ręce. Zaledwie ukończył ręce, Dżeppetto uczył, że ktoś mu porywa z głowy perukę. Odwrócił się i cóż zobaczył? Ujrzał swoją żółtą perukę w rękach pajaca.

— Pinokio!... Oddaj mi w tej chwili moją perukę!

Ale Pinokio, zamiast oddać mu perukę, włożył ją sobie na głowę i pograżył się w niej niemal w całości. Po tym zuchwałym i pełnym drwin figlu Dżeppetto posmutniał i stał się markotny jak nigdy jeszcze w życiu; zwracając się w końcu do Pinokia, powiedział:

— Hultajski synku! Jeszcze nie jesteś wykończony, a już uchylasz swojemu ojcu! Żle, mój chłopcze, bardzo źle! — i otarł łzę.

Pozostały jeszcze do wystrugania nogi i stopy.

Zaledwie Dżeppetto dorobił mu nogi, uczył kopnięcie w sam koniec nosa.

— Dobrze mi tak! — mruknął do siebie. — Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć! Teraz już za późno!

Następnie ujął pajaca pod pachy i postawił na ziemi, na podłodze izdebki, żeby go przyzwyczaić do chodzenia.

Pinokio miał nogi zdrętwiałe i nie umiał się poruszać, więc Dżeppetto poprowadził go za rękę, żeby go nauczyć, jak się stawia krok za krokiem. Kiedy już jego nogi stały się sprężyste, Pinokio zaczął chodzić o własnych siłach i biegać po izbie; w końcu, dopadłszy drzwi, wyskoczył na ulicę i zaczął uciekać. Biedny Dżeppetto rzucił się za nim w pościg, ale nie mógł go dogonić, ponieważ filut Pinokio pędził w susach jak zając, a tłukąc drewnianymi nogami o bruk uliczny robił taki stukot, jak co najmniej dwadzieścia par chłopskich chodaków.

— Trzymajcie go! Trzymajcie go! — wrzeszczał Dżeppetto, ale przechodnie widząc drewnianego pajaca, co sadył jak konik berberyjski, przystawali zachwyceni, żeby mu się przyjrzeć, i śmiali się, śmiali, tak się śmiali, że trudno to opisać. Na szczęście zjawił się w końcu karabinier, który usłyszawszy te wrzaski i sądząc, że tu chodzi o żrebaka, co umknął swemu panu, stanął odważnie na środku ulicy, rozstawiwszy szeroko nogi, zdecydowany zatrzymać zbiega i nie dopuścić do większych przykrości. Ale Pinokio ujrzawszy z daleka karabiniera, który zatarasował całą ulicę, umyślił sobie czmychnąć mu niespodzianie między nogami; lecz nie udało mu się. Karabinier, nie poruszywszy się nawet, chwycił go

grzeczniutko za nos (a było to olbrzymie nosisko w sam raz na to, żeby karabinierzy mieli za co chwycić) i oddał uciekiniera do rąk własnych Dżepetta, który dla nauki chciał mu od razu porządnie natrzeć uszu. Ale wyobraźcie sobie, jak się zadziwił, kiedy mimo szukania nie udało mu się znaleźć uszu pajaca. A wiecie dlaczego? Dlatego że strugając go w pośpiechu, zapomniał o uszach. Wobec tego chwycił Pinokia za kark i, odprowadzając go z powrotem, potrząsał groźnie głową i mówił do niego:

— Wracajmy. Kiedy już będziemy w domu, nie omieszkam porachować się z tobą!

Usłyszawszy taką zapowiedź, Pinokio rzucił się na ziemię i nie chciał iść dalej. Tymczasem ciekawscy i włóczyki zaczęli przystawać i otaczać ich kołem.

Jeden gadał to, drugi tamto.

— Biedny pajac — mówili niektórzy — ma słuszość, że nie chce wrócić do domu! Kto wie, jak by go wygrzmocił ten brutal Dżepetto!...

A inni dorzucali złośliwie:

— Ten Dżepetto wygląda na zanego człowieka, ale to srogi tyran dla chłopców! Jeżeli zostawi się biednego pajaca w jego rękach, gotów połamać go na kawałki!...

Słowem, tyle gadali i tyle wyprawiali, że karabinier uwolnił Pinokia, a do więzienia zabrał biednego Dżepetta. Nie mogąc w pierwszej chwili znaleźć słów na swoją obronę, biedaczysko płakał jak bóbr, a po drodze do aresztu bełkotał wśród łkania:

— Niegodziwy synek! I pomyśleć, że tak się namęczyłem, żeby zrobić grzecznego pajaca! Mam, na co zasłużyłem! Powinienem był wcześniej o tym pomyśleć!...

To, co się potem zdarzyło, to historia wręcz nie do wiary, którą opowiem wam w następnych rozdziałach.

IV

Przygoda Pinokia z Gadającym Świerszczem, z której widzimy, że niegrzeczne dzieci bardzo nie lubią, gdy je karcą ci, co są od nich mądrzejsi

A zatem opowiem wam, dzieci, że kiedy niewinnego Dżepetta prowadzono do więzienia, ten wisus Pinokio, uwolniony ze szponów karabiniera, puścił się na przełaj przez pola, żeby co prędzej wrócić do domu. W szalonym pędzie przeskakiwał najwyższe żywopłoty, cierniste krzewy i rowy pełne wody, jak koziołek jakiś albo zajaczek ścigany przez myśliwych. Dobiegłszy do domu, zastał uchylone drzwi. Pchnął je, wszedł do środka i gdy tylko zaryglował wejście, usiadł na podłodze i głęboko odetchnął z zadowolenia.

Ale to zadowolenie niedługo trwało, gdyż usłyszał głos:

— Kri-kri-kri!

— Kto mnie woła? — zapytał Pinokio wystraszony.

— To ja!

Pinokio odwrócił się i ujrzał wielkiego świerszcza, który sunął powoli po ścianie.

— Powiedz mi, Świerszczu, kto ty jesteś?

— Ja jestem Świerszcz Gadający i mieszkam w tej izbie od stu lat.

— Ale dzisiaj izba ta jest moja — odrzekł pajac — i jeżeli chcesz mi zrobić prawdziwą przyjemność, to wynoś się stąd natychmiast, nawet nie oglądając się za siebie.

— Nie pójdę stąd — odrzekł Świerszcz — zanim nie powiem ci jednej wielkiej prawdy.

— Mów, ale spiesz się.

— Biada chłopcom, którzy buntują się przeciwko rodzicom i z kaprysów porzucają dom ojcowski! Nigdy im nie będzie dobrze na tym świecie i wcześniej czy później gorzko pożałują tego kroku.

— Gadaj zdrow, mój Świerszczyku, ile tylko chcesz i co ci się podoba; ja zaś wiem, że jutro, o świecie, chcę wyruszyć stąd, bo jeżeli tu zostanę, podzielę los innych chłopców, to znaczy,

że czy chcę, czy nie chcę, będę musiał pójść do szkoły i uczyć się, a ja — mówiąc między nami — nie mam najmniejszej ochoty do nauki; więcej mnie bawi bieganie za motylami i wspinanie się na drzewa, żeby wybierać z gniazd ptaszki.

— Biedny głuptasie! A nie wiesz, że postępując w ten sposób staniesz się wielkim, ślicznym osłem i że wszyscy będą się wyśmiewali z ciebie?

— Bądźże cicho, złowróźbny Świerszczu! — krzyknął Pinokio.

Ale Świerszcz, który był cierpliwy i trochę filozof, zamiast rozgniewać się za te niegrzeczne słowa, ciągnął dalej tym samym tonem:

— A jeżeli nie uśmiecha ci się chodzenie do szkoły, to czemu nie wyuczysz się przynajmniej jakiegoś rzemiosła, żeby zarobić sobie uczciwie na kawałek chleba?

— Chcesz, żebym ci powiedział? — odparł Pinokio, który zaczynał tracić cierpliwość. — Wśród wszystkich rzemiosł świata jest tylko jedno jedyne, które naprawdę mi się podoba.

— A tym rzemiosłem jest?

— Jeść, pić, spać, bawić się i prowadzić życie włóczęgi.

— Zapamiętaj sobie — rzekł Gadający Świerszcz ze zwykłym sobie spokojem — że ci wszyscy, którzy obrali sobie takie rzemiosło, kończą prawie zawsze w szpitalu albo w więzieniu.

— Uwważaj, przebrzydły, złowróźbny Świerszczu!.. Bo jeżeli wpadnę w złość, to biada ci!

— Biedny Pinokio! Doprawdy żal mi ciebie!

— Dlaczego ci żal?

— Dlatego że jesteś pajacem i, co gorsza, że masz drewnianą, zakutą pałę.

Po tych ostatnich słowach Pinokio skoczył rozszłoszczony i, porwawszy z warsztatu drewniany młotek, rzucił nim w Gadającego Świerszcza.

Może nie chciał go uderzyć, ale na nieszczęście trafił w głowę, tak że biedny Świerszczyk miał tylko tyle tchu, żeby zacykać „kri-kri-kri”, i zastygł bez życia, przyklepiony do ściany.

V

Pinokio jest głodny i szuka jaja, żeby zrobić sobie jajecznicę, ale jajecznicą ulatuje mu przez okno

Tymczasem zaczął zapadać mrok i Pinokio, przypomniawszy sobie, że nic jeszcze nie jadł, poczuł kruczenie w brzuchu, co było bardzo podobne do apetytu. Jednakże apetyt u dzieci szybko wzrasta, i rzeczywiście, po kilku minutach apetyt zmienił się w głód, a głód w okamgnieniu stał się wilczym głodem, głodem tak wielkim, że aż można by go nożem krajać. Biedny Pinokio pobiegł zrazu do ogniska, gdzie kipiał garnek, i chciał podnieść przykrywkę, żeby zobaczyć, co tam jest wewnątrz, ale garnek był namalowany na murze. Możecie sobie wyobrazić, co się z nim działo. Nos jego, który był już dość długi, wydłużył mu się jeszcze przynajmniej o cztery palce. Wtedy zaczął biegać po izbie i przetrząsać wszystkie szufladki i wszystkie zakamarki, żeby znaleźć trochę chleba, chociażby i suchego, bodaj jakąś skórkę, jakąś kość zachowaną dla psa lub resztę spleśniałej mamałygi czy też ość z ryby, pestkę z czereśni, słowem, coś do przegryzienia, ale nie znalazł nic, po prostu nic, nic a nic. Tymczasem głód wzrastał i wzrastał, a dla biednego Pinokia jedyną ulgą było ziewanie, toteż ziewał tak długo i szeroko, że usta sięgały mu czasami aż do uszu. Po ziewaniu zaczął pluć i uczuł, że brzuch mu się zapada.

Wówczas płacząc i rozpaczając powiedział:

— Gadający Świerszcz miał słuszność. Źle zrobiłem buntując się przeciwko tatusiowi i uciekając z domu... Gdyby mój tatuś był tutaj, nie umierałbym teraz z tego ziewania! Ach! Jakaż to straszna choroba ten głód!

Nagle wydało mu się, że w kupie śmieci dostrzega coś okrągłego i białego, coś, co było bardzo podobne do kurzego jajka. Skok i rzucenie się na to było sprawą jednej chwili.

Rzeczywiście, było to jajko. Radość pajaca była tak wielka, że niepodobna jej opisać; trzeba umieć ją sobie wyobrazić. Myśląc, że to może tylko sen, obracał jajeczko w rękach i dotykał go, i całował, a całując mówił:

— A teraz jak by je tu przyrządzić? Może zrobić jajecznicę?... Nie, lepiej zrobić jajko sadzone!... Ale czy nie byłoby smaczniejsze, gdybym je usmażył na patelni? Albo też ugotował je na miękko? Nie, najpraktyczniej będzie, jeżeli przyrządzę jajko sadzone na patelni albo w rynce, mam straszny apetyt na to jajko!

Co powiedziawszy, postawił rynkę na fajerce pełnej żarzącego się węgla; zamiast oliwy czy masła nalał do rynki trochę wody, a kiedy woda zaczęła buchać parą, stuk! — rozbił skorupkę jajka i chciał je wrzucić do rynki. Atoli, zamiast białka i żółtka, ze skorupki wyskoczyło Kurczątko bardzo wesolutkie i grzeczne, które odezwało się z pięknym ukłonem:

— Stokrotnie dziękuję, panie Pinokio, żeś mi pan oszczędził trudu rozbicia skorupki! Do widzenia, bywaj pan zdrow i kłaniaj się ode mnie całej rodzinie!

Mówiąc to Kurczątko rozpostarło skrzydełka, pofrunęło do okna, które było otwarte, uleciało w dal i zniknęło z oczu. Biedny Pinokio stał jak urzeczony, z nieruchomym wzrokiem, z otwartymi ustami i ze skorupką jajka w ręce.

Wróciwszy do przytomności po pierwszym oszołomieniu, zaczął z rozpaczą płakać, wrzeszczeć i tłuc nogami o podłogę, a wśród łkania mówił:

— A jednak Gadający Świerszcz miał słuszość! Gdybym nie uciekł z domu i gdyby mój tatuś był tutaj, nie umierałbym teraz z głodu! Och! Jakaż to wstrętna choroba ten głód!

A ponieważ kiszki burczały mu głośniejsze jeszcze niż przedtem, a sam już nie wiedział, czym je uspokoić, postanowił wyjść z domu i skoczyć do pobliskiej wioski, w nadziei, że znajdzie jakąś litościwą osobę, która jako jałmużnę da mu pajdę chleba.

VI

Pinokio zasypia z nogami na fajerce z żarem i następnego ranka budzi się z opalonymi stopami

Była to piekielna zaiste noc. Grzmiało przeraźliwie, błyskało się, jak gdyby niebo płonęło, a w zimnym i szalonym wicherze, świszczącym wściekle i podnoszącym chmury kurzu, wszystkie drzewa w polu trzeszczały i skrzypiały.

Pinokio ogromnie bał się grzmotów i błyskawic, jednakże głód był silniejszy od strachu, więc podszedł do drzwi, a potem, rozpędziwszy się, zdyszany jak pies gończy i z wywalonym jęzorem, dobiegł w setce skoków aż do pobliskiej wioski.

Ale zastał wszystko pogrążone w ciemności i opustoszałe. Sklepy były zamknięte, bramy domów zamknięte, okna zamknięte, a na ulicy nie było nawet psa. Zdawało się, że to kraina umarłych. Wówczas Pinokio, zgnębiony i wygłodniały, uczeplił się dzwonka jednego z domów i począł przeciągle dzwonić, mówiąc do siebie:

— Ktoś przecież ukaże się w oknie. I rzeczywiście w oknie ukazał się staruszek w szlafmocy na głowie i krzyknął rozgniewany:

— Czego chcecie o tej porze?

— Nie moglibyście użyzyć mi kawałka chleba?

— Zaczekaj tam, zaraz wrócę — odpowiedział staruszek, sądząc, że ma do czynienia z jednym z tych nieznośnych chłopaczysków, co to zabawiają się dzwonieniem po domach, żeby naprzykrzać się zacnym ludziom, którzy śpią sobie spokojnie. Po chwili okno otworzyło się ponownie i ten sam staruszek zawołał do Pinokia:

— Stań pod oknem i nadstaw kapelusza!

Pinokio, który nie miał jeszcze kapelusza, zbliżył się i poczuł, jak spływa na niego ogromna miednica wody zlewając go całego od głowy do stóp, jak gdyby był doniczką zeschniętego geranium.

Wrócił do domu zmoczony jak kurczątka, staniając się ze zmęczenia i głodu, a ponieważ nie mógł się utrzymać na nogach, usiadł i oparł przemoczone i zabłocone stopy na fajerce pełnej rozżarzonych węgli.

I tak sobie usnął; a w czasie snu stopy, które były z drzewa, zajęły się od żaru, powolutku zwęgliły się i stały popiołem. Pinokio zaś dalej spał i chrapał, jakby jego stopy należały do kogoś innego.

Na koniec z brzaskiem dnia obudził się, ponieważ ktoś zapukał do drzwi.

— Kto tam? — zapytał ziewając i przecierając oczy.

— To ja — odpowiedział jakiś głos. A był to głos Dżeppetta.

VII

Dżeppetto wraca do domu i daje pajacowi śniadanie, które biedaczysko przyniósł dla siebie

Biedny Pinokio, który ciągle jeszcze miał oczy zaspane, nie zauważył wcale, że stopy ma zupełnie opalone, dlatego też, skoro tylko usłyszał głos swego ojca, zerwał się ze stołka i rzucił ku drzwiom, by odsunąć zasuwkę; tymczasem, zatoczywszy się parę razy, upadł jak długi na podłogę. A padając na ziemię, narobił tyle hałasu, co na przykład worek drewnianych kopystek, zrzucony z piątego piętra.

— Otwórz mi! — wołał z ulicy Dżeppetto.

— Tatusiu, nie mogę — odpowiedział pajac płacząc i tarzając się po ziemi.

— Dlaczego nie możesz?

— Dlatego, że coś mi zjadło stopy.

— A kto ci je zjadł?

— Kot — odparł Pinokio, ujrawszy kota, który bawił się podrzucając łapkami wióry.

— Otwórz, mówię ci! — powtórzył Dżeppetto. — Bo jeżeli nie, to kiedy przyjdę do domu, dam ja ci kota!

— Nie mogę stanąć, wierzcie mi. O ja biedny! Biedny ja, będę musiał przez całe życie chodzić na kolanach!...

Dżeppetto, myśląc, że wszystkie te lamenty były tylko nowym figlem pajaca, postanowił skończyć z tym i, wspiąwszy się po murze, wszedł do domu przez okno. W pierwszej chwili chciał zrobić to, co powiedział, ale kiedy zobaczył swojego Pinokia leżącego na ziemi i naprawdę bez nóg, wzruszył się bardzo i, pochwyciwszy go zaraz w ramiona, zaczął całować, pieścić czule i głaskać, a wielkie jak groch łzy spływały mu po policzkach. Łkając zapytał:

— Mój ty Pinokiuniu! Jakże to spaliłeś sobie stopy?

— Nie wiem, tatusiu, ale wierzaj mi, że była to piekielna noc, której nie zapomnę póki życia. Grzmiało, błyskało się, a ja byłem strasznie głodny i wtedy Gadający Świerszczyk powiedział mi: „Dobrze ci tak, byłeś niegrzeczny i zasłużyłeś na to”, a ja mu powiedziałem: „Uważaj, Świerszczu...”, a on mi powiedział: „Jesteś pajac i masz drewnianą, zakutą pałę”, a ja rzuciłem w niego drewnianym młotkiem, a on umarł, tylko że to była jego wina, bo ja nie chciałem go zabić, najlepszy dowód, że postawiłem rynkę na fajerce z żarem, ale Kurczątka wyskoczyło i powiedziało: „Do widzenia!... Pozdrów ode mnie całą rodzinę!” A głód ciągle wzrastał i dlatego ten staruszek w szlafmicy, wychyliwszy się z okna, powiedział mi: „Stań pod oknem i nadstaw kapelusz”, a ja z całą tą miską wody, wylaną na głowę — bo prosić o jałmużnę to chyba nie wstyd, nieprawdaż? — natychmiast wróciłem do domu, a że ciągle byłem bardzo głodny, położyłem nogi na fajerce, żeby je trochę osuszyć, a ty, tatusiu, wróciłeś i zobaczyłeś, że mi się spaliły, a tymczasem ciągle jestem głodny i nie mam już więcej nóg! Aj! Aj! Aj! Aj!

I biedny Pinokio zaczął tak płakać i wyć, że słyhać go było na odległość pięciu kilometrów. Dżepetto, który z tej beładnej gadaniny zrozumiał tylko to jedno, że pajac umiera z głodu, wyciągnął z kieszeni trzy gruszki i, podając mu je, rzekł:

— Te trzy gruszki miały być dla mnie na śniadanie, ale chętnie ci je daję. Zjedz je i niech ci wyjdą na zdrowie.

— Jeżeli chcesz, żebym je zjadł, to obierz mi je ze skórki.

— Obrąć ze skórki? — odrzekł zdziwiony Dżepetto. — Nigdy bym nie uwierzył, mój chłopcze, że jesteś taki wybredny i że masz takie delikatne podniebienie. To źle! Na tym świecie trzeba od dziecka przyzwyczajając się jeść wszystko, gdyż nigdy nie wiadomo, co nam się może przytrafić. Rozmaicie się zdarza.

— Może i tak — odparł Pinokio — ale ja nie przełknę owocu w skórce. Nie cierpię łupinek.

A poczciwy Dżepetto, wyjąwszy nożyk i uzbroiwszy się w świętą cierpliwość, obrał ze skórki trzy gruszki i wszystkie skórki położył na rogu stołu. Kiedy Pinokio dwoma kęsami zjadł pierwszą gruszkę, chciał odrzucić ogryzek, ale Dżepetto przytrzymał jego rękę mówiąc:

— Nie odrzucaj go; wszystko na świecie może się przydać.

— Ale ja nie zjem ogryzka, żeby tam nie wiem co! — krzyknął Pinokio rzucając się jak zmija.

— Kto wie! Zdarzają się takie wypadki!... — powtórzył Dżepetto nie oburzywszy się ani trochę.

Ostatecznie ogryzki nie zostały wyrzucone przez okno, tylko położone na rogu stołu obok skórek. Zjadłszy, a raczej pożarłszy te trzy gruszki, Pinokio ziewnął od ucha do ucha i westchnął:

— Jeszcze jestem głodny!

— Ale ja, mój chłopcze, nie mam już nic, co bym mógł ci dać.

— Nic, zupełnie nic?

— Mam tylko te ogryzki i te skórki z gruszek.

— Co robić? — powiedział Pinokio. — Jeżeli nie ma nic innego, zjem skórkę.

I zaczął żuć. Z początku skrzywił się nieco, ale potem kolejno pogryzł na miążgę wszystkie skórki; po skórkach także i ogryzki, a kiedy zjadł już wszystko, poklepał się z wielkim, zadowoleniem po brzuszku i rzekł wesoło:

— Tak, teraz czuję się dobrze!

— Widzisz więc — zauważył Dżepetto — że miałem słuszną radę mówiąc ci, że nie należy przyzwyczajając podniebienia ani do rzeczy zanadto wyszukanych, ani do zbyt delikatnych. Mój kochany, nie wiadomo, co nam się może przytrafić na tym świecie. Rozmaicie bywa.

VIII

Dżepetto dorabia Pinokiovi nogi i sprzedaje własny kaftan, żeby mu kupić elementarz

Gdy tylko zaspokoił głód, Pinokio zaczął narzekać i płakać, ponieważ chciał dostać nową parę nóg.

Ale Dżepetto, chcąc go ukarać za popełnioną psotę, pozwolił mu płakać i rozpaczać przez pół dnia, po czym odezwał się:

— A po co miałbym ci zrobić nową parę nóg? Może po to, aby ujrzeć, jak znowu czmychasz z domu?

— Przyrzekam — odrzekł pajac szlochając — że począwszy od dziś będę już grzeczny. A Dżepetto na to:

— Wszystkie dzieci tak mówią, kiedy pragną coś dostać.

— Przyrzekam, że pójdę do szkoły, że będę się uczył i zasłużę na pochwałę...

— Wszystkie dzieci, kiedy pragną coś dostać, powtarzają to samo.

— Ale ja nie jestem taki jak inne dzieci! Ja jestem lepszy od wszystkich i zawsze mówię prawdę. Przymierzam ci, ojczusiu, że wyuczę się jakiegoś rzemiosła i że będę pociechą i podporą twojej starości.

Chociaż Dżepetto przybrał groźną minę, miał oczy pełne łez, a serce wezbrane współczuciem na widok biednego Pinokia; nie odpowiadając mu wcale, ujął narzędzia stolarskie, dwa kawałki dobrze wysuszonego drzewa i zabrał się do pracy z największym zapałem.

I w niespełną godzinę stopy były już gotowe; dwie stopki zgrabne, suche i ruchliwe, jak gdyby wyrzeźbione przez wielkiego artystę.

Wtedy Dżepetto powiedział do pajaca:

— Zamknij oczy i śpij!

Pinokio przymknął oczy i udał, że śpi. A kiedy tak udawał śpiącego, Dżepetto, wzięwszy trochę kleju rozrobionego w skorupce jaja, tak dobrze przylepił mu na swoim miejscu obie stopy, że nie było widać ani śladu przysztukowania. I skoro tylko pajac spostrzegł, że ma całe nogi, zeskoczył ze stołu, na którym leżał, i zaczął płasnąć i wywracać tysiączne koziołki, jak gdyby oszalał z wielkiej radości.

- Ażeby odpłacić ci za to, coś dla mnie zrobił — powiedział Pinokio do swojego tatusia — chcę zaraz pójść do szkoły.

— Doskonale, mój chłopcze!

- Ale żeby pójść do szkoły, muszę mieć jakieś ubranie.

Dżepetto, który był biedny i nie miał w kieszeni ani jednego grosika, zrobił mu ubranko z papieru w kwiatki, trzewiczki z kory drzewnej, a czapeczkę z ośrodki chleba.

Pinokio pobiegł zaraz przejrzeć się w miednicy z wodą i taki był zadowolony z siebie, że, pusząc się jak paw, powiedział:

— Wyglądam jak prawdziwy pan!

— Istotnie — odparł Dżepetto — bo zapamiętaj to sobie, że nie piękne ubranie robi pana, ale raczej czyste ubranie.

— Ale, ale — dorzucił pajac — żeby pójść do szkoły, brak mi jeszcze czegoś, i to nawet czegoś, co najważniejsze i najlepsze.

— To znaczy?

— Brakuje mi elementarza.

— Masz słuszność, ale co tu zrobić, żeby go dostać?

— Nic łatwiejszego: idzie się do księgarni i kupuje.

— A pieniążki?

— Ja nie mam nic.

— Ja też nic nie mam — dodał zacny staruszek posmutniawszy.

Pinokio, chociaż był niezwykle wesołym chłopczykiem, również posmutniał, bo kiedy się spotyka prawdziwą biedę, to wszyscy ją rozumieją, nawet i dzieci.

— Trudno! — zawołał Dżepetto zrywając się nagle, po czym wdziawszy stary barchanowy kaftan, cały pozszywany i połatany, wybiegł pędem z domu. Wkrótce potem wrócił; a kiedy wszedł, miał w ręce elementarz dla synka, ale nie miał już kaftana. Biedny człek miał na sobie tylko kamizelkę, a na dworze padał śnieg.

— A gdzie kaftan, tatusiu?

— Sprzedałem go.

— Dlaczegoś go sprzedał?

— Bo mi było w nim za gorąco.

Pinokio zrozumiał w lot tę odpowiedź i, nie mogąc pohamować odruchu swego dobrego serduszka, rzucił się Dżepettowi na szyję i zaczął go całować po twarzy.

IX

Pinokio sprzedaje elementarz, żeby pójść do teatru marionetek

Kiedy już śnieg przestał padać, Pinokio ze swoim pięknym nowym elementarzem pod pachą wyszedł na drogę wiodącą do szkoły, a idąc snuł w swoim mózdzku tysiączne fantazje i budował zamki na lodzie, jeden piękniejszy od drugiego. I rozprawiając sam ze sobą, tak mówił:

— Dzisiaj, w szkole, chcę od razu nauczyć się czytać, jutro nauczę się pisać, a pojutrze rachować. Potem, dzięki moim zdolnościom, zarobię moc grosiwa, a za pierwsze grosze, jakie mi wpadną do kieszeni, sprawię tatusiowi piękny wełniany kaftan. Co ja też mówię? Wełniany to za mało. Chcę, żeby był ze srebra i złota i z brylantowymi guzikami. Ten biedny człowiek naprawdę zasługuje na to, bo przecież, żeby mi kupić książkę i dać wykształcenie, został w samej kamizelce... na taki mróz! Jedynie tylko ojcowie są zdolni do takiego poświęcenia!...

Kiedy tak mówił ze wzruszeniem, wydało mu się, że słyszy w oddali dźwięki piszczałek i uderzenia w wielki bęben: pi-pi-pi, pi-pi-pi... bum, bum, bum... Zatrzymał się i nadstawił ucha.

Dźwięki dochodziły z głębi długiej poprzecznej ulicy, która wiodła do małej osady, obudowanej nad brzegiem morza.

— Co to za muzyka? Szkoda, że muszę iść do szkoły, inaczej to...

Stanął niezdecydowany. Jednak trzeba było coś postanowić: albo iść do szkoły, albo posłuchać piszczałek.

— Dzisiaj pójdę posłuchać piszczałek, a jutro pójdę do szkoły. Na pójście do szkoły zawsze jeszcze czas — powiedział urwis wzruszając ramionami.

Jak powiedział, tak zrobił; natychmiast skierował się w przecznicę i zaczął pędzić co sił w nogach. Im dalej biegł, tym wyraźniej słyszał dźwięk piszczałek i głucho uderzenia w wielki bęben: pi-pi-pi, pi-pi-pi... bum, bum, bum... Aż oto znalazł się na środku placu pełnego ludzi, którzy tłoczyli się koło wielkiego baraku z drzewa i płótna, pomalowanego w tysiączne kolory.

— Cóż to za barak? — zapytał Pinokio zwracając się do jakiegoś chłopczyka z tej osady.

— Przeczytaj afisz, na którym wszystko jest napisane, a dowiesz się.

— Chętnie bym to zrobił, ale właśnie dzisiaj nie umiem czytać.

— Ty ośla głowo! Więc ja ci to przeczytam. Dowiedz się więc, że na tym afiszu wypisane jest czerwonymi literami:

WIELKI TEATR MARIONETEK

— Czy dawno zaczęło się przedstawienie?

— Właśnie się zaczyna.

— A ile się płaci za wstęp?

— Cztery soldy.

Pinokio, który aż drżał z ciekawości, stracił panowanie nad sobą i, nie wstydząc się wcale, powiedział do chłopczyka, z którym rozmawiał:

— Mógłbyś mi pożyczyć do jutra cztery soldy?

— Chętnie dałbym ci je — odpowiedział tamten drwiąco — ale właśnie dzisiaj nie mogę ci ich dać.

— Sprzedam ci mój surducik za cztery soldy.

— A po co mi ubranko z papieru w kwiatki? Jeżeli deszcz je zmoczy, nie ściągnę go z grzbietu.

— Chcesz kupić moje trzewiki?

— Dobrze są do rozpalenia ognia.

— Ile dasz za czapczkę?

— Istotnie, świetny nabytek! Czapka z ośrodki chleba! Chyba po to, żeby myszy przywędrowały i zjadły mi ją na głowie!

Pinokio stał jak na szpilkach.

Już, już miał wystąpić z propozycją, ale nie miał odwagi, ociągał się, wahał, męczył. W końcu zapytał:

— Dasz mi cztery sody za ten nowy elementarz?

— Jestem chłopcem i niczego nie kupuję od chłopców — odpowiedział mały rozmówca, który był znacznie mądrzejszy od Pinokia.

— To ja kupię elementarz za cztery sody! — zawołał handlarz starzyzną, który przysłuchiwał się tej rozmowie.

Książka została natychmiast sprzedana. I pomyśleć, że ten biedak Dżepetto został w domu i marzył w samej tylko kamizelce, a żeby synowi kupić elementarz!

X

Marionetki rozpoznają w Pinokiu swego braciszka i urządzają mu ogromną owacją; ale w najpiękniejszej chwili ukazuje się Ogniojad, dyrektor teatryku marionetek, i pajacykowi grozi smutny koniec

Kiedy Pinokio wszedł do teatru marionetek, zdarzył się wypadek, który wywołał niemal rewolucję.

Trzeba wiedzieć, że kurtyna była podniesiona i że przedstawienie już się zaczęło.

Na scenie znajdowali się Arlekin i Pulczinella, którzy kłócili się z sobą i wedle zwyczaju grozili, że lada chwila zaczną okładać się kijami i wymierzać sobie tęgie policzki.

Widownia, przyglądająca się z wielką uwagą, pękała ze śmiechu słuchając kłótni dwóch marionetek, które gestykulowały i obrzucały się wszelkiego rodzaju obelgami tak prawdziwie, jak gdyby były myślącymi stworzeniami i prawdziwymi ludźmi.

Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, Arlekin przestaje grać, zwraca się do publiczności i, wskazując ręką na kogoś w głębi widowni, zaczyna krzyczeć dramatycznym tonem:

— Bogowie niebiescy! Czy to sen, czy jawa? Przecież ten w głębi to Pinokio!...

— To istotnie Pinokio! — woła Pulczinella.

— To właśnie on! — krzyczy pani Rosaura, ukazując się nagle na scenie.

— To Pinokio! To Pinokio! — wrzeszczą chórem wszystkie marionetki, wybiegając w podskokach zza kulis.

— To Pinokio! To nasz brat Pinokio! Niech żyje Pinokio!...

— Pinokio, chodź tu do mnie — woła Arlekin — chodź i rzuć się w ramiona twoich drewnianych braci!

Po tak serdecznym zaproszeniu Pinokio daje susa z głębi widowni i już jest oto w pierwszych rzędach, potem drugim skokiem ląduje na głowie dyrygenta orkiestry, a stamtąd wdrapuje się na scenę. Niepodobna wyobrazić sobie tych uścisków, tego rzucania się na szyję, tych przyjacielskich szturchańców i kuksów, prawdziwych i szczerych dowodów braterstwa, jakie wśród ogromnego zgiełku otrzymał Pinokio ze strony aktorów i aktorek tej dramatyczno-drewnianej trupy. Nie ma co mówić, obraz ten był wzruszający, ale publiczność widząc, że przerwano grę, zniecierpliwiła się i zaczęła wołać:

— Żądamy komedii, żądamy komedii!...

Wszystko na próżno, ponieważ marionetki, zamiast grać dalej, podwoiły hałas i wrzaski i, wzięwszy Pinokia na ramiona, zanosły go w triumfie przed rampę.

A wtedy ukazał się dyrektor teatru marionetek, olbrzym tak brzydki, że sam jego widok wzbudzał trwogę. Miał brodę czarną jak wielka plama atramentu, a tak długą, że od

podbródka sięgała mu aż do ziemi; dość powiedzieć, że kiedy kroczył, przydeptywał ją sobie nogami, gęba jego była tak szeroka jak czeluść pieca, oczy wyglądały jak dwie latarnie z czerwonego szkła z płonącymi wewnątrz świecidełkami, a wielki bat, którym strzelał, zrobiony był z węzów i lisich ogonów razem splecionych.

Niespodziewane zjawienie się dyrektora zaparło wszystkim oddech. Można było usłyszeć latanie muchy. Biedne marionetki obojga płci drżały jak liście.

— Czy przyszedłeś, żeby wywołać zamęt w moim teatrze? — zapytał Pinokia właściciel marionetek głosem silnie zakatarzonej Piekielnej Poczwy.

— Jaśnie panie, proszę mi wierzyć, to nie moja wina!...

— Dobrze, dobrze! Wieczorem porachujemy się.

Istotnie, po skończonym przedstawieniu właściciel marionetek poszedł do kuchni, gdzie przygotował sobie na wieczór okazałego barana, którego kręcił powoli na rożnie.

A ponieważ zabrakło mu drewna, żeby go dobrze upiec, zawołał Arlekiną oraz Pulczinellę i tak im rzekł:

— Przynieście mi tu tego pajaca, którego znajdziecie zawieszzonego na gwoździu. Zdaje mi się, że ten pajac zrobiony jest z dobrze wysuszonego drzewa i że, wrzucony do ognia, buchnie wspaniałym płomieniem pod rożnem.

W pierwszej chwili Arlekin i Pulczinella zawahali się; ale przerażeni strasznym spojrzeniem dyrektora usłuchali i wkrótce wrócili do kuchni niosąc na ramionach biednego Pinokia, który, wijąc się jak węgorz wyjęty z wody, rozpaczliwie piszczał:

— Tatusiu mój, wyratuj mnie! Nie chcę umierać, nie chcę umierać!...

XI

Ogniojad kicha i przebacza pajacykowi, który potem ocala od śmierci swego przyjaciela Arlekina

Dyrektor Ogniojad, bo takie było jego nazwisko, wydawał się przerażającym człowiekiem, temu nie można zaprzeczyć, zwłaszcza przez tę długą, czarną brodę, która niby fartuch zakrywała mu pierś i całe nogi: ale w gruncie rzeczy nie był taki zły. Toteż kiedy mu przyniesiono biednego Pinokia, który bronił się wszelkimi sposobami, wyjąc „Nie chcę umierać, nie chcę umierać! — roztkliwił się od razu i poczuł litość; przez chwilę opierał się, w końcu jednak kichnął potężnie. Słyszając to kichnięcie Arlekin, który do tej chwili stał zgębiony i drżący jak wierzba płacząca rozpogodził twarz i, nachylając się do Pinokia, szepnął półgłosem:

— Dobrze jest, bratku. Dyrektor kichnął, a to jest znak, że się lituje nad tobą, więc jesteś już ocalony. — Bo trzeba wiedzieć, że tak jak inni ludzie, litując się nad kimś, płaczą albo przynajmniej udają, że ocierają łzy, Ogniojad, ilekroć był naprawdę wzruszony, miał brzydkie przyzwyczajenie kichania. Był to również dobry sposób, jak każdy inny okazaniu dobroci serca.

Kichnąwszy sobie, dyrektor nie przestał się srożyć i krzyknął na Pinokia:

— Przestań już raz beczeć! Przez te twoje lamenty aż mi coś niedobrze tu w żołądku... czuję takie kurcze, że o mało, o mało... Apsik! Apsik! — i znowu kichnął dwa razy.

— Na zdrowie! — powiedział Pinokio.

— Dziękuję. Czy twój tatuś i mama żyją jeszcze? — pytał Ogniojad.

— Tatuś żyje, ale mamy wcale nie znałem.

— Wyobrażam sobie, jakby się zmartwił twój stary ojciec, gdybym cię teraz wrzucił między te rozżarzone węgle! Biedny stary! Żal mi go!... Apsik, apsik, apsik! — i znowu kichnął trzy razy.

— Na zdrowie! — powiedział Pinokio.

— Dziękuję! Zresztą trzeba i dla mnie mieć współczucie, gdyż, jak widzisz, nie mam już drzewa, żeby wreszcie upiec tego barana, a ty, prawdę mówiąc, w tym wypadku bardzo byłbyś mi się przydał. Ale teraz, kiedy się ulitowałem, nic się już nie da zrobić. Zamiast ciebie, spalę pod różnym jakiegoś innego pajaca z mojej trupy... Hej, żandarmi!

Na ten rozkaz natychmiast zjawili się dwaj żandarmi z drewna, niesłuchanie dłudzy i wyschnięci; w trójgraniastych kapeluszach na głowie i z szablami w ręce.

A wtedy dyrektor odezwał się do nich ochrypłym głosem:

— Weźcie mi tu tego Arlekina, zwiążcie go mocno, a potem wrzucicie do ognia na spalenie. Chcę, żeby mój baran był dobrze upieczony!

Wyobraźcie sobie biednego Arlekina! Przeraził się tak strasznie, że nogi ugięły się pod nim, i padł twarzą do ziemi.

Na ten rozdzierający widok Pinokio rzucił się do nóg dyrektora, i płacząc gorzko i oblewając łzami każdy włoszek jego olbrzymiej brody, zaczął mówić błagalnym tonem:

— Litości, panie Ogniojadzie!

— Tu nie ma żadnych panów! — odparł twardo dyrektor.

— Litości, panie kawalerze!...

— Tu nie ma żadnych kawalerów!

— Litości, panie komandorze!...

— Tu nie ma żadnych komandorów!

— Litości, ekscelencjo!...

Słyszając, że go tytułują ekscelencją, dyrektor od razu złożył usta w ciup i, okazując nagle bardziej ludzkie odruchy i łaskawość, zapytał Pinokia:

— No więc czego chcesz ode mnie?

— Proszę o łaskę dla biednego Arlekina!

— Tu nie ma mowy o żadnej łasce. Jeżeli oszczędziłem ciebie, to on musi pójść na opał, ponieważ chcę, żeby mój baran był dobrze upieczony.

— W takim razie — zawołał dumnie Pinokio prostując się i zrzucając czapeczkę zrobioną z ośrodki chleba — w takim razie wiem, co jest moim obowiązkiem! Naprzód, panowie żandarmi! Zwiążcie mnie i wrzucicie do ognia. Nie, to nie byłoby sprawiedliwe, gdyby biedny Arlekin, mój prawdziwy przyjaciel, miał umrzeć za mnie!

Słowa te, wypowiedziane podniesionym głosem i tonem heroicznym, doprowadziły do płaczu wszystkie marionetki przypatrujące się tej scenie. Nawet żandarmi, chociaż byli z drewna, beczeli jak młode jagniątko.

Ogniojad z początku był nieubłagany i twardy jak kawał lodu; ale potem z wolna, z wolna i on zaczął się roztkliwiać i kichać. Kichnąwszy tak ze cztery czy pięć razy, otworzył serdecznie ramiona i rzekł do Pinokia:

— Dzielny z ciebie chłopiec! Chodź tu do mnie i ucałuj mnie.

Pinokio podbiegł natychmiast i, wdrapawszy się jak wiewiórka po brodzie dyrektora, ucałował go czule w sam koniec nosa.

— A więc jestem ułaskawiony? — zapytał biedny Arlekin cieniutkim, ledwie dosłyszalnym głosem.

— Jesteś ułaskawiony! — odparł Ogniojad, po czym dodał wzdychając i kręcąc głową: — Co zrobić! Dziś wieczorem zadowolę się na pół surowym baranem, ale innym razem biada temu, na kogo padnie wyrok!...

Na wiadomość o ułaskawieniu marionetki pobiegły na scenę i, zapaliwszy wszystkie lampy i świeczniki jakby na galowe przedstawienie, puściły się w pląsy i skoki. Zaczęło świtać, a one ciągle tańczyły.

XII

Ogniojad daje pajacykowi. pięć złotych monet, żeby je zaniósł swemu tatusiowi, ale Pinokio, obalamucony przez Lisa i Kota, idzie razem z nimi

Nazajutrz Ogniojad odwołał na bok Pinokia i zapytał:

— Jak się nazywa twój ojciec?

— Dżeppetto.

— A czym się trudni?

— Klepie biedę.

— Dużo zarabia?

— Zarabia tyle, ile trzeba, żeby nigdy nie mieć ani grosza w kieszeni. Niech pan sobie wyobrazi, że aby mi kupić elementarz szkolny, musiał sprzedać jedyny kaftan, jaki miał na sobie; kaftan cały podarty, pełen cer i łat.

— Biedaczysko! Żał mi go doprawdy. Masz tu pięć złotych cekinów. Idź zaraz, zanieś mu je i pozdrów go serdecznie ode mnie.

Pinokio, co nietrudno sobie wyobrazić, podziękował stokrotnie dyrektorowi, uściskał kolejno wszystkie marionetki z tej trupy, nawet żandarmów, i nie posiadając się z radości, wyruszył w powrotną drogę do domu.

Ale nie uszedł jeszcze ani pół kilometra, kiedy spotkał na drodze Lisa kulawego na jedną nogę i Kota ślepego na oba oczy, którzy wędrowali pomagając sobie jak dobrzy towarzysze w nieszczęściu. Kulawy Lis opierał się na Kocie, a ślepy Kot dał się prowadzić Lisowi.

— Dzień dobry, Pinokio! — powiedział Lis pozdrawiając go uprzejmie.

— A skądże ty znasz moje imię? — zapytał pajac.

— Znam dobrze twojego tatusia.

-- Gdzie go widziałeś?

-- Widziałem go wczoraj przed bramą jego domu.

-- A co robił?

-- Był w samej kamizelce i drżał z zimna.

-- Biedny tatuś! Ale, da Bóg, od dziś nie będzie już drżał!

-- Dlaczego?

-- Dlatego, że stałem się wielkim panem.

-- Ty wielkim panem? — odrzekł Lis wybuchając grubym drwiącym śmiechem. Kot również się śmiał, ale nie się chcąc się z tym zdradzić, gładził sobie wąsiki przednimi łapkami.

-- Nie ma się zupełnie z czego śmiać! — zawołał obrażony Pinokio. — Przykro mi bardzo i nie chciałbym wam robić oskomy, ale oto tu, jeżeli znacie się na tym, jest pięć ślicznych złotych cekinów. — I wyjął monety, które podarował mu Ogniojad.

Słyszac miły dźwięk złotych monet, Lis mimowolnym odruchem wyciągnął łapę, która niby to była koślawa, a Kot otworzył szeroko oczy, które błysnęły jak dwie zielone latarnie, po czym jednak przymrużył je natychmiast, tak że Pinokio niczego nie zauważył.

— A teraz — zapytał Lis — co chcesz zrobić z tymi cekinami?

— Przede wszystkim — odparł pajac — chcę kupić dla mojego tatusia piękny nowy kaftan, cały ze złota i srebra i z brylantowymi guzikami, a potem chcę kupić sobie elementarz.

— Dla siebie?

— Rozumie się, ponieważ chcę chodzić do szkoły i uczyć się na dobre.

— Spójrz na mnie — powiedział Lis — z powodu głupiej chęci do nauki postradałem nogę.

— Spójrz na mnie — powiedział Kot — z powodu głupiej chęci do nauki straciłem wzrok.

W tejże chwili biały Kos, który siedział na płocie, przy drodze, zagwizdał po swojemu i rzekł:

— Pinokio, nie słuchaj rad złych towarzyszy; w przeciwnym razie pożałujesz tego!

Biedny kos, oby nigdy tego nie był powiedział! Kot jednym susem rzucił się na niego i, nie dając mu nawet tyle czasu, żeby mógł pisać „oj”, schrupał go ze wszystkim, nawet

i z piórkami. Zjadłszy go i wytarłszy sobie mordkę, znowu przymknął oczy i, tak jak przedtem, zaczął udawać ślepego.

— Biedny Kos! — powiedział Pinokio do Kota. — Dlaczego tak okrutnie go skrzywdziłeś?

— Chciałem mu dać nauczkę. Na przyszłość będzie wiedział, iż nie należy wtrącać się do cudzych rozmów.

Byli już w połowie drogi, kiedy Lis, zatrzymując się nagle, odezwał się do pajaca:

— Chciałbyś pomnożyć twoje cekiny?

— To znaczy?

— Chcesz z pięciu nędznych cekinów zrobić sto, tysiąc, dwa tysiące?

— A to jakim sposobem?

— Bardzo łatwym. Zamiast wrócić do domu, powinieneś pójść z nami.

— A dokąd chcecie mnie zaprowadzić?

— Do Krainy Głupków.

Pinokio zastanowił się chwilę, a potem odpowiedział stanowczym tonem:

— Nie, ja tam nie pójde. Jestem już blisko domu i chcę pójść tam, gdzie czeka na mnie mój tatuś. Kto wie, jak biedaczysko wzdychał wczoraj, kiedy nie mógł się mnie doczekać. Niestety, byłem złym synem, a Gadający Świerszcz miał słuszość mówiąc mi: „Nieposłusznym dzieciom źle się wiedzie na tym świecie”. Przekonałem się o tym na sobie, ponieważ spotkało mnie mnóstwo nieszczęść, a wczoraj wieczorem w domu Ogniojada groziło mi niebezpieczeństwo... Brrr! Na samą myśl dostaję gęsiej skórki!

— A zatem — powiedział Lis — chcesz koniecznie wrócić do domu? Idź więc, tym gorzej dla ciebie!

— Tym gorzej dla ciebie! — powtórzył Kot.

— Pinokio, zastanów się dobrze, ponieważ dajesz kopniaka szczęściu.

— Szczęściu! — zawtórował Kot.

— Z twoich pięciu cekinów zrobiłoby się z dnia na dzień dwa tysiące.

— Dwa tysiące! — powtórzył Kot.

— Jak to możliwe, żeby wyrosła aż taka suma? — zapytał Pinokio otwierając szeroko usta ze zdziwienia.

— Zaraz ci to wyjaśnię — rzekł Lis. — Trzeba ci wiedzieć, że w Kramie Głupków jest takie błogosławione pole, zwane przez wszystkich Polem Cudów. Na tym polu zrobisz w ziemi mały otwór i wsuniesz tam na przykład jeden złoty cekin. Potem zasypiesz otwór odrobiną ziemi, podlejesz go dwoma wiadrami źródlanej wody, posypiesz szczyptą soli, a wieczorem spokojnie pójdziesz sobie spać. W ciągu nocy cekin zacznie kiełkować i kwitnąć, a nazajutrz wstawszy z łóżka i powróciwszy na pole, cóż tam znajdziesz? Znajdziesz cudne drzewo obwieszona tyłoma złotymi cekinami, ile ziarnek zboża może zawierać wspaniały, dojrzały kłos w czerwcu.

— A więc — rzekł Pinokio coraz bardziej oszołomiony — gdybym na tym polu zagrzebał te pięć moich cekinów, to ile znalazłbym nazajutrz rano?

— To bardzo prosty rachunek — odpowiedział Lis — możesz to policzyć na palcach. Przyjmijmy, że każdy cekin da ci kiść o pięciuset cekinach, pomnóż pięćset przez pięć, a nazajutrz rano znajdziesz w kieszeni dwa tysiące pięćset błyszczących i dźwięczących cekinów.

— Ach, to cudowne! — zawołał Pinokio tańcząc z uciechy. — Gdy tylko zbiorę te cekiny, wezmę dla siebie dwa tysiące, a te pięćset ofiaruję wam obu w podarunku.

— Nam w podarunku?! — krzyknął pogardliwie Lis udając obrażonego. — Niech cię Bóg uchowa!

— Uchowa! — powtórzył Kot.

— My — dorzucił Lis — nie pracujemy dla marnego zysku; my pracujemy wyłącznie po to, żeby wzbogacać innych.

— Innych! — powtórzył Kot.

„Jacy oni zacni! — pomyślał sobie Pinokio i, zapominając w mig o swoim tatusiu, o nowym kaftanie, o elementarzu i o wszystkich dobrych postanowieniach, które dopiero co uczynił, rzekł do Lisa i Kota:

— Chodźmy więc. Idę z wami.

XIII

Gospoda „Pod Czerwonym Rakiem”

Idą, idą, idą, aż wreszcie pod sam wieczór przybyli śmiertelnie zmęczeni do gospody „Pod Czerwonym Rakiem”.

— Zatrzymajmy się tu na chwilę — rzekł Lis — tyle, żeby coś przekąsić i odpocząć parę godzin. O północy pójdziemy dalej, żeby jutro o świcie być już na Polu Cudów.

Wszedłszy do gospody wszyscy trzej usiedli do stołu, ale żaden nie miał apetytu.

Biedny Kot, który był ciężko chory na żołądek, nie mógł przełknąć więcej niż trzydzieści pięć płotek w sosie pomidorowym i cztery porcje flaczków z parmezanem, a ponieważ flaczki wydały mu się nie dość ostro przyprawione, zażądał trzykrotnie masła i tartego sera.

Lis także byłby chętnie przegryzł coś do smaku, ale ponieważ doktor przepisał mu ścisłą dietę, więc musiał zadowolić się zwykłym zającem w szarym sosie, leciutko ugarniowanym tuczonymi kurkami i młodziutkimi kogutkami. Po zającu kazał podać pikantną potrawkę z kuropatw, jarząbków, królików, żab, jaszczurek i winogron muszkatołowych; potem nie chciał już niczego. Mówił, że ma taki wstręt do jedzenia, że już nie może niczego wziąć do ust.

Pinokio jadł najmniej ze wszystkich. Zażądał połówki orzeszka oraz piętki chleba i wszystko zostawił na talerzu. Biedaczek myślami krążył uporczywie około złotych cekinów i Pola Cudów i już zawczasu dostał niestrawności.

Po wieczerzy Lis rzekł do gospodarza:

— Dajcie nam dwa wygodne pokoje, jeden dla pana Pinokia, a drugi dla mnie i dla mego towarzysza. Zanim pójdziemy dalej, chcielibyśmy zdrzemnąć się trochę. Ale pamiętajcie, że o północy trzeba nas obudzić, żebyśmy mogli wyruszyć w drogę.

— Słucham panów — odpowiedział gospodarz i zrobił oko do Lisa i Kota, jak gdyby chciał powiedzieć: „Już ja tam wiem, co w trawie piszczy!”

Zaledwie Pinokio położył się do łóżka, zasnął od razu i zaczął śnić. A w śnie wydawało mu się, że stoi na środku pola, a to pole było pełne krzewów obwieszonych gronami, a te grona to były złote cekiny, które, chwiejąc się na wietrze, wydawały dźwięk: dzień, dzień, dzień, jak gdyby chciały powiedzieć: „Kto ma ochotę, może nas zerwać!” Ale w najlepszym momencie, kiedy Pinokio wyciągnął rękę, żeby zebrać garściami te piękne monety i włożyć je sobie do kieszeni, obudziły go nagle trzy gwałtowne stuknięcia do drzwi.

Był to gospodarz, który przyszedł zawiadomić go, że północ już wybiła.

— A moi towarzysze już gotowi? — zapytał pajac.

— Rozumie się! Już ze dwie godziny, jak wyruszyli.

— Skądże taki pośpiech?

— Ponieważ Kot otrzymał wiadomość, że jego starszy Kotek, cierpiący na odmrożenie nóg, znajduje się w niebezpieczeństwie życia.

— Czy zapłacili ci za wieczerzę?

— Co też pan mówi? Oni są zbyt dobrze wychowam, żeby wielmożnego pana tak obrazić.

— Szkoda! Taki afront zrobiłby mi wielką przyjemność! — rzekł Pinokio drapiąc się w głowę. Potem zapytał: — A gdzież oni będą na mnie czekali, ci dobrzy przyjaciele?

— Na Polu Cudów jutro o brzasku dnia.

Pinokio zapłacił cekina za wieczerzę swoją i towarzyszy, a potem ruszył w drogę.

Można śmiało powiedzieć, że szedł po omacku, ponieważ poza gospodą było tak czarno, tak ciemno, choć oko wykol. Wokoło na polach było cicho jak makiem zasiał. Tylko czasem jakieś ptaszysko nocne, przelatując drogą od płotu do płotu, uderzało skrzydłami w nos Pinokia, który odskakiwał w tył ze strachu i wołał: „Kto idzie?” A echo z okolicznych wzgórz powtarzało z daleka: „Kto idzie? Kto idzie? Kto idzie?”

Kiedy tak szedł, ujrzał na pniu drzewa malutkie żyjątko, lśniące bladym i zamglonym światłem jak nocny kaganek w przezroczystej porcelanie.

— Kto ty jesteś? — zapytał go Pinokio.

— Jestem cieniem Gadającego Świerszcza — odpowiedziało żyjątko słabiutkim głosikiem, który zdawał się płynąć z innego świata.

— Czego chcesz ode mnie? — rzekł pajac.

— Chcę dać ci pewną radę. Wracaj do domu i te cztery cekiny, co ci jeszcze zostały, zanieś tatusiowi, który płacze i rozpacza, żeś mu się gdzieś zawieruszył.

— Jutro mój tatuś będzie wielkim panem, gdyż te cztery cekiny rozmnożą się i będzie ich dwa tysiące.

— Nie ufaj, mój chłopcze, tym, co obiecują, że cię wzbogacą z dnia na dzień. Zazwyczaj są to albo narwańcy, albo wydrwigrosze! Posłuchaj mnie i wróć do domu.

— A ja, przeciwnie, chcę iść dalej.

— Już bardzo późno!...

— Chcę iść dalej.

— Noc taka ciemna...

— Chcę iść dalej.

— Droga jest niebezpieczna...

— Chcę iść dalej.

— Pamiętaj, że chłopcy, którzy z kaprysów chcą koniecznie postawić na swoim, wcześniej czy później żałują tego.

— Zwykle bajdy. Dobrej nocy, Świerszczu!

— Dobrej nocy, Pinokio, i niech cię niebiosy uchronią od gęstej mgły i od zbójców!

Gdy tylko wypowiedział te ostatnie słowa, Gadający Świerszcz zgasł jak nagle zdmuchnięte światełko, a droga stała się jeszcze ciemniejsza niż przedtem.

XIV

Pinokio spotyka zbójców, ponieważ nie usłuchał dobrych rad Gadającego Świerszcza

— Doprawdy — mówił do siebie pajac ruszając w dalszą drogę — my, biedni chłopcy, jesteśmy bardzo pokrzywdzeni. Wszyscy nas łają, wszyscy nas upominają, wszyscy udzielają nam rad. Gdyby im tylko pozwolić, to każdy by sobie ubzdurał, że jest naszym ojcem i nauczycielem — nawet i Świerszcz Gadający. Na przykład teraz: ponieważ nie usłuchałem tego przebrzydłego Świerszcza, to wedle niego nie wiem, jakie nieszczęścia powinny spaść na mnie! Nawet i spotkanie ze zbójcami! Całe szczęście, że nie wierzę w zbójców i że nigdy w nich nie wierzyłem. Wedle mnie, zbójców wymyślili sobie po prostu nasi ojczulkowie, żeby napędzić stracha chłopcom, którzy chcą się włóczyć po nocy. A zresztą, gdybym ich nawet spotkał tu na drodze, to czyżbym sobie robił co z tego? Nic podobnego. Wystąpiłbym groźnie przeciwko nim i zawołałbym: „Panowie zbójcy, czego chcecie ode mnie?! Niech panowie nie zapominają, że ze mną nie ma żartów! Proszę więc iść za swoimi sprawami i ani słowa więcej!” Po tej naganie, udzielonej na serio, widzę już, jak ci biedni zbójcy biorą nogi za pas. Gdyby jednakże byli źle wychowani i nie chcieli czmychnąć, wówczas ja bym czmychnął i tak bym zakończył sprawę...

Pinokio nie mógł dokończyć swojego przemówienia, ponieważ w tej samej chwili wydało mu się, że słyszy za sobą leciutki szelest liści.

Odwrócił się i ujrzał w ciemności dwie czarne, szkaradne postacie zakapturzone i ubrane w worki od węgla, które to postacie biegły za nim w długich susach i na czubkach palców, jak jakieś widma.

„Otóż i oni!” — pomyślał sobie i nie wiedząc, gdzie ukryć swoje cztery cekiny, ukrył je w ustach pod językiem.

Potem próbował uciekać. Ale zanim zrobił pierwszy krok, uczył, że coś go chwyta, i usłyszał dwa okropne, stłumione głosy:

— Pieniądze albo życie!

Pinokio nie mogąc odpowiedzieć ani słowa, ponieważ w ustach miał cekiny, zaczął bić głębokie pokłony i szalenie gestykulować: był to sposób, aby dać do zrozumienia owym widmom w kapturach, których jedynie oczy widać było przez otwory w workach, że on jest tylko biednym pajacem i że nie ma przy sobie nawet fałszywego grosika.

— Prędeż, prędeż! Nie gadaj, tylko wyciągaj pieniądze! — krzyczeli groźnie dwaj rozbójnicy.

A pajac poruszał głową i rękami, co miało znaczyć: „Nie mam nic”.

— Wyciągaj pieniądze albo zginiesz! — zawołał wyższy wzrostem zbójca.

— Zginiesz! — powtórzył drugi.

— A potem zabijemy także i twego ojca!

— Także i twego ojca!

— Nie, nie, nie, nie zabijajcie mojego biednego tatusia! — krzyknął Pinokio zrozpaczonym tonem, ale kiedy tak krzyczał, brzęknęły mu w ustach cekiny.

— Ach, ty hultaju! A więc ukryłeś pieniądze pod językiem? Wypluj je natychmiast!

Ale Pinokio nie ustąpił.

— Aha! Udajesz głuchego? Zaczekaj chwilkę, my się już postaramy, żebyś je wypluł!

Istotnie, jeden z nich chwycił pajaca za koniec nosa, drugi za spiczastą brodę i zaczęli ciągnąć go zaciekle w tę i tamtą stronę, żeby go zmusić do otwarcia ust; ale nie było rady. Usta pajaca były jak gdyby zagwożdżone i zalutowane. Wówczas ów niższy wzrostem rzezimieszek wy dobył wielkie nożyisko i, operując nim jakby lewarem i dłutem, usiłował wcisnąć je między wargi pajaca; ale Pinokio z szybkością błyskawicy chwycił go zębami za rękę, po czym odgryzłszy ją dokładnie, wypluł. A teraz wyobraźcie sobie jego zdziwienie, kiedy ujrzał, że zamiast ręki wypluł na ziemię łapkę kota. Zachęcony tym pierwszym zwycięstwem, uwolnił się przemocą ze szponów rozbójników i przeskoczywszy płot przydrożny, zaczął uciekać przez pola. A zbójcy biegli za nim jak dwa psy za zającem, a ten, który stracił łapkę, biegł na jednej nodze i kto tam wie, jak sobie z tym dawał radę.

Po piętnastu kilometrach takiego biegu Pinokio nie mógł już dalej uciekać. Widząc, że jest zgubiony, wspiał się po pniu bardzo wysokiej sosny i usiadł na wierzchołku wśród gałęzi. Zbójcy usiłowali również wejść na drzewo, ale wdrapawszy się do połowy pnia, ześliznęli się i spadając na ziemię zdarli sobie skórę z rąk i nóg.

Ale i tak nie dali za wygraną, przeciwnie, nazbierawszy wiązkę suchego drzewa, położyli ją u stóp sosny i wznecili ogień. Toteż w okamgnieniu sosna zajęła się i zaczęła płonąć jak świeca poruszana wiatrem. Widząc, że płomienie buchają coraz wyżej, a nie chcąc skończyć jak upieczony gołąb, Pinokio dał wspaniałego susa z wierzchołka drzewa i znowu puścił się biegiem przez pola i winnice. A zbójcy za nim, ciągle za nim, bez wytchnienia.

Tymczasem zaczęło świtać i Pinokio ujrzał nagle przed sobą bardzo szeroki i bardzo głęboki rów, który zagroził mu drogę. Rów ten był pełen obrzydliwej, mętnej wody koloru białej kawy. Co tu robić? „Raz, dwa, trzy!” — krzyknął pajac i, rzucając się z wielkim rozpędem, przeskoczył na drugą stronę. Zbójcy także skoczyli, ale nie odmierzywszy dobrze — chlup!

— wpadli w sam środek rowu. Pinokio, który posłyszał głuchy upadek i plusk wody, krzyknął śmiejąc się i biegnąc dalej:

— Miłej kąpieli, panowie zbójcy!

I już sobie ich wyobrażał ślicznie potopionych, kiedy, odwróciwszy się, spostrzegł, że obaj biegną za nim, ciągle zakapturzeni i w workach, z których lała się woda jak z dziurawych koszów.

XV

Zbójcy nadal gonią Pinokia, a dogoniwszy wieszają na gałęzi Wielkiego Dębu

Wówczas pajac straciwszy odwagę już chciał rzucić się na ziemię i poddać, kiedy spojrzawszy dokoła, zobaczył jaśniejący w oddali wśród ciemnej zieleni drzew mały domeczek bielutki jak śnieg.

— Gdybym miał jeszcze tyle tchu, żeby dobiec do tego domku — powiedział do siebie — może bym ocalał.

I nie zwlekając ani chwili puścił się pełnym biegiem przez lasek. A zbójcy ciągle za nim. Po blisko dwugodzinnym, rozpaczliwym biegu dopadł nareszcie zziębnięty do drzwi domku i zapukał.

Nikt nie odpowiedział.

Zaczął więc silniej pukać, gdyż słyszał odgłos zbliżających się kroków i ciężki oddech swoich prześladowców.

I znowu cisza.

Przekonawszy się, że pukanie nie pomaga, zaczął z rozpaczą kopać i tłuc głową o bramę domku.

I wówczas ukazała się w oknie piękna Dzieweczka o błękitnych włosach, a twarzyczce tak białej, jakby to była figurka woskowa; oczy miała zamknięte, a ręce skrzyżowane na piersi. Dzieweczka ta, nie poruszając wcale wargami, odezwała się głosem, który zdawał się płynąć z tamtego świata:

— W tym domu nie ma nikogo — wszyscy umarli.

— Otwórz mi przynajmniej ty! — zawołał Pinokio płacząc i błagając.

— Ja też jestem umarła.

— Umarła? Więc cóż robisz tam w oknie?

— Czekam na mary, które mają mnie zabrać.

Powiedziawszy to, Dzieweczka zniknęła, a okno zamknęło się bez żadnego hałasu.

— O piękna Dzieweczko z błękitnymi włosami — wołał Pinokio — ulituj się i otwórz mi! Zmiłuj się nad biednym chłopczykiem, którego ścigają zbójcy...

Ale nie mógł dokończyć słowa, gdyż uczuł, że go chwytają za kark, po czym usłyszał dwa okropne głosy, które warczały groźnie:

— Teraz już nam nie umkniesz!

Gdy mu śmierć błysnęła przed oczyma, zdjęła pajaca drzączka tak silna, że w tym dygotaniu trzeszczały mu spoidła drewnianych nóg i dźwięczały cztery cekiny ukryte pod językiem.

— I cóż — zapytali go zbójcy — otworzysz nareszcie usta czy nie? Ach, nie odpowiadasz! Zostaw to nam! Tym razem my ci je sami otworzymy!...

I dobywszy dwa nożyśka, strasznie długie i ostre jak brzytwy, ciach! — wymierzili mu dwa ciosy prosto w krzyże.

Ale na szczęście pajac zrobiony był z bardzo twardego drzewa i dlatego ostrza złamały się i rozprysły w kawałki, a zbójcy zostali z trzonkami noży w rękach i spoglądali po sobie.

— Rozumiem — powiedział wówczas jeden z nich — trzeba go powiesić! Powieśmy go!

— Powieśmy go! — powtórzył drugi.

Powiedziawszy to, związali mu ręce na plecach i, założywszy pętlicę na szyję, powiesili go dyndającego na gałęzi ogromnego drzewa, zwanego Wielkim Dębem.

Potem usiedli na trawie, czekając na ostatnie drgawki pajaca; ale po trzech godzinach pajac miał ciągle oczy otwarte, usta zamknięte i dyndał nogami jeszcze więcej niż przedtem. W końcu, znudzeni czekaniem, zwrócili się do Pinokia i odezwali się z szyderczym śmiechem:

— Do widzenia, do jutra! Mamy nadzieję, że gdy tu jutro wrócimy, wyświadczysz nam grzeczną i będziesz już wisiał nieżywy i z szeroko otwartymi ustami.

I odeszli.

Tymczasem zerwał się z nagła wiatr północny, który świszcząc i wyjąc, wściekle miotał na wszystkie strony biednym wisielcem i wprawiał go w tak gwałtowne kołysanie, jak na przykład serce dzwonu w dzień świąteczny. To chybotanie się sprawiało pajacowi przenikliwy ból, a pętla, coraz bardziej zaciskająca się na szyi, zapierała mu oddech.

Powolutku, powolutku zamgliły mu się oczy, a chociaż czuł zbliżanie się śmierci, jednak ciągle miał nadzieję, że lada chwila zjawi się jakaś litościwa dusza i wybawi go.

A kiedy tak czekał i czekał, i, widział, że nikt a nikt nie nadchodzi, pomyślał o swoim biednym tatusiu... i niemal już konający wyjąkał:

— Och, mój tatusiu! Gdybyś ty był tutaj!...

Już nie starczyło mu tchu i nie mógł powiedzieć więcej. Zamknął oczy, otworzył usta, wyprostował nogi i raz jeszcze silnie drgnąwszy, zawisł jakby zdrętwiały.

XVI

Piękna Dzieweczka o błękitnych włosach każe zdjąć pajaca, kładzie go do łóżka i wzywa trzech lekarzy, żeby dowiedzieć się, czy żyje, czy też umarł

W czasie kiedy biedny Pinokio, powieszony przez rozbójników na gałęzi Wielkiego Dębu, wydawał się raczej umarły niż żywy, piękna Dzieweczka o błękitnych włosach znowu ukazała się w oknie i zdjeta litością na widok nieboraka, który z pętlą na szyi tańczył w kółko za każdym gwałtowniejszym podmuchem północnego wiatru, klasnęła trzy razy w dłonie i trzy razy lekko zastukała. Na to hasło powstał wielki szum skrzydeł, które pruły powietrze z niesłychanym impetem. To olbrzymi Sokół nadleciał i przysiadł na parapecie okna.

— Co rozkaże moja najłaskawsza Wróżka? — zapytał Sokół pochylając dziób na znak ukłonu (trzeba bowiem wiedzieć, że Dzieweczka o błękitnych włosach to była po prostu dobra Wróżka, która od tysiąca lat z górą mieszkała w pobliżu tego lasu).

— Widzisz tego pajaca, zawieszzonego na gałęzi Wielkiego Dębu?

— Widzę.

— Otóż poleć tam w tejże chwili, potężnym twoim dziobem przetnij pętlę, na której wisi, i złóż go ostrożnie na trawie, u stóp Dębu.

Sokół odleciał, a po dwóch minutach wrócił mówiąc:

— To, co rozkazałaś, wykonałem.

— A jakże go zastałeś, żywym czy umarłym?

— Tak na oko wydał mi się martwy, ale widać nie był jeszcze na dobre nieboszczykiem, bo zaledwie rozluźniłem pętlę, która ścisnęła mu szyję, westchnął i wyjąkał półgłosem: „Teraz mi już lepiej!”

Wówczas Wróżka, klasnąwszy w dłonie, zastukała lekko dwa razy, po czym zjawił się wspaniały pudel, który kroczył prosto na tylnych łapach, zupełnie jak człowiek. Pudel ubrany był jak stangret — w galową liberię. Na głowie miał trójgraniasty kapelusik obszyty złotym galonem, białą perukę z loczkami spadającymi aż na szyję, dalej kabacik koloru czekolady, z brylantowymi guzikami i z dwiema kieszeniami na kostki, które dostawał od swojej pani na obiad, krótkie spodenki z czerwonego aksamitu, jedwabne pończochy, pantofelki, a z tyłu coś

w rodzaju futerału na parasol z niebieskiego atłasu, który to futerał służył za schowek na ogon w razie deszczu.

— Żwawo, mój pocziwy Medorze! — rzekła Wróżka do pudła. — Każ natychmiast zaprząć najpiękniejszą karoce z mojej wozowni i jedź w kierunku lasku. Gdy staniesz pod Wielkim Dębem, znajdziesz tam leżącego na trawie biednego, na pół umarłego pajaca. Podnieś go ostrożnie, równie ostrożnie ułóż go na poduszkach karocy i przywieź mi go tutaj. Zrozumiałeś?

Na znak, że zrozumiał, pudel kiwnął trzy czy cztery razy futerałem z niebieskiego atłasu, który miał z tyłu, i popędził jak rumak berberyjski.

W chwilę później wyjechała z wozowni śliczna przezroczysta karetka cała obita piórkami kanarka, a wewnątrz oblana bitą śmietaną i obłożona ciasteczkami z kremem. Karetkę ciągnęło sto par białych myszek, a pudel siedząc na koźle strzelał biczem w prawo i w lewo jak woźnica, który się boi, że się spóźni.

Nie upłynął jeszcze kwadrans, a karetka była już z powrotem. Wróżka, która czekała na progu domu, wzięła biednego pajaca w ramiona i, zaniósłszy go do pokoiku o ścianach wyłożonych perłową masą, posłała natychmiast po trzech najświetniejszych w okolicy lekarzy. Lekarze przybyli od razu, jeden po drugim: to znaczy, przybył Kruk, Sowa i Świerszcz Gadający.

— Chciałabym się dowiedzieć od panów — odezwała się Wróżka zwracając się do trzech doktorów zgromadzonych wokoło łoża Pinokia — chciałabym się dowiedzieć, czy ten nieszczęśliwy pajac zmarł, czy też żyje...

Na to wezwanie Kruk podszedł pierwszy i zbadał puls Pinokia; potem zbadał nos, potem mały palec, stopy. Kiedy już wszystko dobrze obejrzał, wyrzekł uroczyście następujące słowa:

— Moim zdaniem, pajac jest już zupełnie martwy, ale gdyby na nieszczęście nie był martwy, byłaby to najpewniejsza oznaka, że jeszcze żyje!

— Bardzo mi przykro — odezwała się Sowa — że muszę sprzeciwić się temu, co twierdzi mój znakomity kolega i przyjaciel: przeciwnie, moim zdaniem, pajac ciągle jeszcze żyje, ale gdyby na nieszczęście nie żył, byłby to znak, że umarł naprawdę!

— A pan nic nie powie? — zapytała Wróżka Gadającego Świerszcza.

— Ja sędzę, że ostrożny lekarz, gdy nic nie wie — najlepiej robi, jeżeli się nie odzywa. Zresztą nie pierwszy raz spotykam tego pajaca; znam go nie od dziś!...

Pinokio, który dotychczas leżał nieruchomy jak prawdziwy kawałek drzewa, dostał jak gdyby ataku drgawek, które wstrząsały całym łóżkiem.

— Ten pajac — mówił dalej Świerszcz — to wierutny nicpoń...

Pinokio otworzył oczy i zaraz je przymknął.

— To hultaj, nicpoń i łazęga...

Pinokio zasłonił twarz prześcieradłem.

— Ten pajac to nieposłuszny syn, jego biedny tatuś umrze przez niego z żalu!...

W tym momencie usłyszano w pokoju zduszony płacz i łkanie. Wyobraźcie sobie, jakie było zdziwienie wszystkich, kiedy uchyliwszy prześcieradła, ujrzeli, że tym, co płakał i łkał, był Pinokio.

— Jeżeli umarły płacze, to znak, że jest na drodze do wyzdrowienia — rzekł uroczyście Kruk.

— Bardzo mi przykro, że muszę sprzeciwić się temu, co twierdzi mój znakomity kolega i przyjaciel — dorzuciła Sowa — ale moim zdaniem, kiedy umierający płacze, to znak, że żal mu umierać.

XVII

*Pinokio zjada kawałek cukru, ale nie chce wziąć na przeczyszczenie;
dopiero kiedy widzi grabarzy, którzy przychodzą go zabrać,
wypija lekarstwo. Potem kłamie, a za karę wydłuża mu się nos*

Zaledwie trzech lekarze wyszli z pokoju, Wróżka podeszła do Pinokia i, dotknąwszy jego czoła, przekonała się, że pajac ma tak silną gorączkę, że aż strach.

Więc wsypała do pół szklanki wody trochę białego proszku i, podając ją pajacowi, rzekła litościwie:

— Wypij tę wodę, a za kilka dni będziesz zdrow. Pinokio spojrzał niespokojnie na szklankę, skrzywił usta, po czym zapytał płaczącym głosem:

— Słodka czy gorzka?

— Gorzka, ale ci dobrze zrobi.

— Jeżeli gorzka, to nie chcę jej.

— Posłuchaj mnie i wypij.

— Nie lubię gorzkich napojów.

— Wypij tę wodę, a kiedy ją wypijesz, dostaniesz cukru na poprawienie smaku.

— Gdzie jest cukier?

— Jest tutaj.— rzekła Wróżka wyjmując cukier ze złotej cukierniczki.

— Najpierw chcę cukru, a potem wypiję tę obrzydłą, gorzką wodę...

— Przyniesiesz mi?

— Tak...

Wróżka dała mu kawałek cukru, a Pinokio, schrupawszy i połknąwszy go w jednej chwili, oblizał sobie usta i rzekł:

— Jakby to było dobrze, gdyby i cukier był lekarstwem. Codziennie brałbym na przeczyszczenie.

— Teraz dotrzymaj przyrzeczenia i wypij tę odrobinę wody, która przywróci ci zdrowie.

Pinokio niechętnie wziął szklankę i zagłębił w niej koniec nosa, potem podniósł szklankę do ust, potem znowu zagłębił w niej koniec nosa, po czym odezwał się:

— Zanadto gorzka! Zanadto gorzka! Nie mogę jej wypić!

— Jakże możesz tak mówić, skoro nawet nie skosztowałeś?

— Już ją sobie wyobrażam! Poczulem to po zapachu. Przedtem chciałbym drugi kawałek cukru... potem już wypiję!...

A Wróżka, z całą cierpliwością troskliwej mamusi, włożyła mu do ust cukier, po czym znowu podała szklankę.

— Tak nie mogę jej wypić! — powiedział pajac robiąc najrozmaitsze miny.

— Dlaczego?

— Dlatego że mi zawadza ta poduszka, którą mam w nogach.

Wróżka zdjęła poduszkę.

— Wszystko na nic! I tak nie mogę jej wypić...

— Cóż ci jeszcze zawadza?

— Te na pół otwarte drzwi. Wróżka zamknęła drzwi.

— Koniec końcem — zawołał Pinokio wybuchając płaczem — ja nie wypiję tej wstrętnej gorzkiej wody, nie wypiję, nie, nie, nie!...

— Pożałujesz tego, mój chłopcze...

— Wszystko mi jedno...

— Twoja choroba jest ciężka...

— Wszystko mi jedno...

— Za parę godzin gorączka może cię zabrać na tamte światy...

— Wszystko mi jedno...

— Nie boisz się śmierci?

— Ani trochę! Wolę raczej umrzeć niż wypić to obrzydliwe lekarstwo.

W tejże chwili otworzyły się drzwi i do pokoju weszły cztery czarne jak atrament króliki, niosąc na ramionach małą trumienkę.

— Czego chcecie ode mnie?! — krzyknął Pinokio podnosząc się i siadając na łóżku w wielkim strachu.

— Przyszliśmy zabrać cię — odparł najgrubszy królik.

— Zabrać mnie?... Przecież nie umarłem jeszcze!...

— Jeszcze nie, ale masz zaledwie parę minut życia, ponieważ nie chciałeś wypić lekarstwa, które byłoby cię wyleczyło z gorączki!

— O moja Wróżko, o moja Wróżko — zaczął pisać pajac — podaj mi zaraz tę szklankę!... Zmiłuj się, śpiesz się, ja nie chcę umierać, nie, nie chcę umierać!...

I chwyciwszy szklankę obiema rękami, wychylił ją duszkiem.

— Trudno! — rzekły Króliki. — Tym razem na próżno odbyłyśmy tę drogę.

I znowu wzięwszy trumienkę na ramiona wyszły z pokoju gderając i mruczając coś przez zęby. Faktem jest, że po kilku minutach Pinokio wyskoczył z łóżka, wyleczony na dobre; bo trzeba wiedzieć, że drewniane pajace mają pewien przywilej: rzadko chorują i bardzo szybko wracają do zdrowia. A Wróżka, widząc, że tak biega i figluje po pokoju, wesoły i zwawy jak młody kogucik, odezwała się:

— A więc moje lekarstwo naprawdę dobrze ci zrobiło?

— Jeszcze jak dobrze! Przez nie wróciłem na ten świat!

— Więc dlaczego musiałam cię tak długo prosić o to, żebyś je wypił?

— Bo my, chłopcy, wszyscy jesteśmy tacy! Bardziej boimy się lekarstwa niż choroby!

— To wstyd!... Chłopcy powinni wiedzieć, że dobre lekarstwo, zastosowane w porę, może zapobiec ciężkiej chorobie, a nawet uchronić od śmierci.

— Och! Innym razem nie dam się już tak prosić! Przypomnę sobie tylko czarne króliki z tą trumienką na ramionach... zaraz chwycę szklankę i chlust!...

_ A teraz chodź tu do mnie i opowiedz mi, jak się to stało, że wpadłeś w ręce rozbójników.

_ Tak się stało, że Ogniojad, dyrektor teatru marionetek, dał mi kilka cekinów i powiedział: „Masz, zanieś je tatusiowi!” A ja tymczasem spotkałem po drodze Lisa i Kota, dwie wielce szanowne osobistości, które zapytały mnie: „Chcesz, żeby te cekiny pomnożyły się o tysiąc lub dwa tysiące? Chodź z nami, to cię zaprowadzimy na Pole Cudów”. A ja powiedziałem: „Chodźmy”, a oni powiedzieli: „Wstąpmy do gospody »Pod Czerwonym Rakiem«, a o północy ruszymy dalej”. Ale kiedy się obudziłem, już ich nie było, bo odeszli. Więc zacząłem błądzić nocą w strasznych ciemnościach i dlatego spotkałem po drodze dwóch rozbójników, odzianych w worki od węgla, którzy powiedzieli: „Oddaj pieniądze”, a ja im powiedziałem: „Nie mam żadnych pieniędzy”, bo te cztery cekiny ukryłem pod językiem, a jeden z tych zbójców próbował włożyć mi rękę w usta, a ja jednym ukąszeniem odgryzłem mu rękę, a potem ją wyplułem, ale zamiast ręki wyplułem łapkę kota. A zbójcy zaczęli mnie ścigać, ja uciekam, oni gonią za mną, aż mnie dopadli i powiesili za szyję na jednym drzewie w tym lasku i powiedzieli: „Jutro wrócimy tutaj, a ty już będziesz wisiał martwy i z otwartymi ustami i w ten sposób odbierzemy ci złote monety, które schowałeś pod językiem”.

— A gdzie masz teraz te monety? — zapytała Wróżka.

— Zgubiłem je — odrzekł Pinokio, ale skłamał, gdyż miał je w kieszeni.

Zaledwie powiedział to kłamstwo, nos jego, już i tak dość długi, wydłużył mu się nagle o dwa palce.

— A gdzież je zgubiłeś?

— W lasku, tu w pobliżu.

Po tym drugim kłamstwie nos Pinokia jeszcze bardziej się wydłużył.

— Jeżeli zgubiłeś je tu, w pobliskim lasku — rzekła Wróżka — to poszukamy ich i znajdziemy, gdyż wszystko, co ginie w tym lasku, zawsze się odnajduje.

— Ach! Teraz lepiej sobie przypominam — odparł pajac zmieszany — ja nie zgubiłem tych cekinów, tylko nawet nie zauważywszy, połknąłem je razem z lekarstwem.

Po tym trzecim kłamstwie nos wydłużył mu się tak niesłychanie, że biedny Pinokio nie mógł obrócić się w żadną stronę. Gdy się obrócił tu, uderzał nosem o łóżko, gdy się obrócił tam, uderzał o ściany albo o drzwi pokoju, a gdy trochę podniósł głowę, o mało nie wybił okna Wróżce.

A Wróżka patrzyła na niego i śmiała się.

— Czemu się śmiejesz? — zapytał pajac bardzo zawstydzony i zaniepokojony z powodu tego nosa, który rósł w oczach.

— Śmieję się z twojego kłamstwa.

— Skąd wiesz, że skłamałem?

— Mój chłopcze, kłamstwo zaraz można poznać, ponieważ istnieją dwa rodzaje kłamstw: takie, co mają krótkie nogi, i takie, co mają długi nos. Twój rodzaj to właśnie kłamstwo, co ma długi nos.

Pinokio, nie wiedząc, gdzie się schować ze wstydu, chciał uciec z pokoju, ale nie udało mu się. Nos jego urósł do takich rozmiarów, że już nie mógł się zmieścić w drzwiach.

XVIII

Pinokio odnajduje Lisa i Kota, a potem idzie z nimi, żeby zasiać cztery cekiny na Polu Cudów

Tak jak to sobie pewnie wyobrażacie, Wróżka pozwoliła pajacowi płakać i krzyczeć przez dobre pół godziny, albowiem pragnęła udzielić mu surowej lekcji, żeby się uleczył z brzydkiego nałogu kłamstwa, najbrzydszego nałogu u dzieci. Ale kiedy ujrzała, że jest tak zeszepecony i że mu oczy na wierzch wychodzą z rozpaczy, ulitowała się i klasnęła w dłonie, a na to hasło wpadło przez okno tysiąc dużych ptaków, które nazywają się dzięcioły. Ptaki te usiadły wszystkie na nosie Pinokia i zaczęły go tak silnie dziobać i dziobać, że po kilku minutach ten olbrzymi, potworny nos został doprowadzony do naturalnej wielkości.

— Jaka ty jesteś dobra, Wróżko moja — rzekł chłopiec ocierając sobie oczy — i jak ja ciebie kocham!

— Ja ciebie także kocham — odparła Wróżka — i jeżeli chcesz zostać przy mnie, będziesz moim braciszkiem, a ja twoją dobrą siostrzyczką...

— Ja bym chętnie został... ale mój biedny tatuś?

— Pomyślałam o wszystkim. Twój tatuś jest zawiadomiony i będzie tutaj, nim noc zapadnie.

— Naprawdę?! — zawołał Pinokio skacząc z radości. — W takim razie, Wróżko moja kochana, jeżeli pozwolisz, chciałbym wyjść na jego spotkanie. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy ucałuję biednego staruszka, który tyle wycierpiał z mego powodu!

— Idź więc, ale uważaj, żeby nie zabłądzić. Jeżeli pójdziesz przez lasek, to na pewno go spotkasz.

Pinokio puścił się w drogę i zaledwie znalazł się w lasku, zaczął sadzić jak koziołek. Ale kiedy doszedł do Wielkiego Dębu, przystanął, gdyż wydało mu się, że słyszy jakieś głosy pośród zarośli.

I rzeczywiście, ujrzał na drodze — zgadnijcie kogo?... Lisa i Kota, czyli dwóch towarzyszy podróży, z którymi wieczerał w gospodzie „Pod Czerwonym Rakiem”.

— Otóż i nasz kochany Pinokio! — zawołał Lis ściskając go i całując. — Skąd się tu wziąłeś?

— Skąd się tu wziąłeś? — powtórzył Kot.

— To długa historia — rzekł pajac. — Opowiem ją wam w wolnej chwili. Dowiedzcie się jednak, że owej nocy, kiedy zostawiliście mnie samego w gospodzie, spotkałem po drodze zbójców...

— Zbójców?... O biedny przyjacielu! A czegoż oni chcieli?

— Chcieli mi ukraść cekiny.

— Nikczemni! — powiedział Lis.

— Najnikczemniejszy! — powtórzył Kot.

— Ale ja zacząłem uciekać — mówił dalej pajac — a oni ciągle za mną, w końcu dopadli mnie i powiesili na gałęzi tego dębu... — Pinokio wskazał na Wielki Dąb, który stał tuż o dwa kroki.

— Czy słyszał kto o czymś tak okropnym? — rzekł Lis. — W jakimże to świecie zmuszeni jesteśmy żyć? Gdzie znajdziemy jakieś bezpieczne schronienie my, ludzie uczciwi?

Kiedy tak rozmawiali, Pinokio zauważył, że Kot kuleje na prawą przednią nogę, ponieważ brak mu całej łapki wraz z pazurkami, więc też zapytał go:

— Co ci się stało w łapkę?

Kot chciał coś powiedzieć, ale jakoś się zaplątał.

Wtedy Lis odezwał się od razu:

— Mój przyjaciel jest zbyt skromny i dlatego nie odpowiada. Ja odpowiem za niego. Dowiedz się więc, że przed godziną spotkaliśmy na drodze starego, mdlejącego z głodu wilka, który prosił o jałmużnę. Ponieważ nie mieliśmy dla niego nic a nic, ani nawet ości z ryby, wiesz, co zrobił mój wspaniałomyślny przyjaciel?... Odgryzł sobie zębami jedną z przednich łapek i rzucił ją biednemu zwierzęciu, żeby mogło zaspokoić głód.

Mówiąc to Lis otarł sobie łzę.

Pinokio, również wzruszony, podszedł do Kota i szepnął mu do ucha:

— Gdyby wszystkie koty były podobne do ciebie, to myszy miałyby raj!...

— A co ty robisz w tych stronach? — zapytał lis pajaca.

— Czekam na tatusia, który lada moment ma tu przyjść.

— A twoje cekiny?

— Mam je ciągle w kieszeni, z wyjątkiem jednego, którym zapłaciłem rachunek w gospodzie „Pod Czerwonym Rakiem”.

— I pomyśleć, że zamiast czterech cekinów mógłbyś mieć jutro tysiąc i dwa tysiące! Dlaczego nie słuchasz mojej rady? Czemu nie zasiejesz ich na Polu Cudów?

— Dzisiaj nie mogę, pójdę kiedy indziej.

— Kiedy indziej będzie za późno — rzekł Lis.

— Dlaczego?

— Dlatego że pole to kupił pewien wielki pan i już od jutra nikomu nie będzie wolno zasiewać tam pieniędzy.

— A jak daleko stąd do Pola Cudów?

— Zaledwie dwa kilometry. Chcesz pójść z nami? Za pół godziny jesteśmy na miejscu; zasiejesz od razu cztery cekiny, po kilku minutach zbierzesz dwa tysiące, a wieczorem wrócisz z pełnymi kieszeniami. Chcesz pójść z nami?

Pinokio nie odpowiedział od razu, gdyż przypomniał sobie dobrą Wróżkę, starego Dżepetta i ostrzeżenie Gadającego Świerszcza; ale w końcu zrobił tak, jak robią wszyscy chłopcy bez krzty rozumu i bez serca, to znaczy kiwnął głową i rzekł do Kota i Lisa:

— Pójdźmy więc, idę z wami.

I poszli.

Maszerowali tak z pół dnia, aż przybyli do miasta, które nazywało się Chwytajcymbałów. Gdy tylko weszli do miasta, Pinokio ujrzał na ulicach całe gromady odartych z sierści psów, które ziewały z głodu, spotykał stada ostrzyżonych owiec, które drżały z zimna, kury bez grzebienia i bez podgardla, żebrzące o ziarnko kukurydzy, widział też wielkie motyle, które

nie mogły już latać, ponieważ sprzedały swoje śliczne, barwne skrzydełka, widział pawie bez ogonów, wstydzące się pokazać, i bażanty szepczące cichuteńko i opłakujące swoje błyszczące złotosrebrne piórka, stracone raz na zawsze. Pośród tego tłumu nędzarzy i ubogich, wstydzących się żebrać, przejeżdżały od czasu do czasu wielkopańskie karety, w których paradował to jakiś lis czy sroka, to jakieś drapieżne ptaszysko.

— Gdzie jest to Pole Cudów? — zapytał Pinokio.

— O dwa kroki stąd.

Szybko przebyli miasto i stanęli na pustym polu, które mniej więcej podobne było do wszystkich innych pól.

— Jesteśmy na miejscu — rzekł Lis. — Teraz pochyl się, wykop rękami niewielki otwór w ziemi i włóż tam złote monety.

Pinokio posłuchał. Wygrzebał otwór i złożył tam cztery cekiny, które mu jeszcze zostały, po czym przysypał otwór garstką ziemi.

— A teraz — rzekł Lis — idź do strumyka niedaleko stąd, zaczerpnij wiadro wody i polej grunt, na którym zasiałeś.

Pinokio poszedł do strumyka, a ponieważ nie miał na razie wiadra, więc zdjął chodak i, napełniwszy go wodą, skropił ziemię, która pokrywała otwór. Potem zapytał:

— Co mam dalej robić?

— Nic więcej — odparł Lis. — Teraz możemy odejść. Ty wróć za jakieś dwadzieścia minut, a znajdziesz drzewko, które tymczasem wyrośnie z ziemi i będzie miało gałęzie obwieszane cekinami.

Biedny pajac, nie posiadając się z radości, dziękował po sto razy swoim towarzyszom i obiecał im piękny podarunek.

— Nie chcemy podarunków — odrzekli dwaj złoczyńcy. — Nam wystarcza, że pokazaliśmy ci sposób wzbogacenia się bez większych trudów, i to sprawia nam ogromną radość.

To powiedziawszy, pożegnali Pinokia i życząc mu obfitego zbioru poszli w swoją drogę.

XIX

Pinokio, okradziony z cekinów, dostaje jeszcze za karę cztery miesiące więzienia

Wróciwszy do miasta, pajac zaczął liczyć upływające minuty i kiedy wydało mu się, że już czas, zawrócił na drogę wiodącą na Pole Cudów.

I kiedy tak pędził, serce biło mu silnie: tik, tak, tik, tak — jak zegar ścienny, który się spieszy. A tymczasem myślał sobie:

„A jeżeli zamiast tysiąca cekinów znajdę na gałęziach drzewa dwa tysiące?... Albo zamiast dwóch tysięcy znajdę pięć tysięcy?... Albo zamiast pięciu — sto tysięcy?... Och, stałbym się wtedy możliwym panem!... Chciałbym mieć piękny pałac, tysiące koników drewnianych i tysiące stajen, gdzie mógłbym się zabawiać, i piwnice pełne słodkich napojów, a także bibliotekę pełną kandyzowanych* owoców, tortów, ciastek, makaroników i ptysiów ze śmietaną.

Tak sobie rojąc, dotarł w pobliże pola i tam przystanął, chcąc się przekonać, czy przypadkiem nie widać jakiegoś drzewka obwieszanego złotymi monetami, ale nic nie ujrzał. Poszedł o sto kroków dalej i nic, wszedł na pole... stanął już nad małym otworem, gdzie zagrzebał cekiny, i znowu nic nie znalazł. Wówczas zadumał się, i zapomniawszy o formach towarzyskich i przepisach dobrego wychowania, wyciągnąwszy z kieszeni rękę, począł drapać się mocno w głowę.

* Owoce kandyzowane — owoce smażone w cukrze.

W tejże chwili zaświstał mu w uszach jakiś drwiący śmiech, podniósł głowę i ujrzał na drzewie dużą papugę, która iskała sobie resztkę piór na grzbiecie.

— Dlaczego się śmiejesz?! — krzyknął gniewnie Pinokio.

— Dlatego, że iskając połaskotałam się pod skrzydłem.

Pajac nie odpowiedział. Poszedł do strumyka, napełnił wodą ten sam chodak i znowu zaczął podlewać ziemię, która pokrywała cekiny.

Ale oto na pustym, cichym polu rozległ się drugi wybuch śmiechu, tym razem jeszcze bardziej bezczelny.

— Ale ostatecznie — wrzasnął Pinokio rozzłoszczony — czy można zapytać, ty źle wychowana Papugo, z czego się tak śmiejesz?!

— Śmieję się z tych głupków, co to wierzą we wszystkie brednie i dają się oszukać tym, którzy są chytrzejsi od nich.

— Czy to może o mnie mowa?

— Tak jest, mówię o tobie, biedny Pinokio, który jesteś tak niemądry i wierzysz, jakoby pieniądze można zasiać i zbierać po polach jak fasolę czy też ogórki. I ja niegdyś uwierzyłam i dziś ponoszę za to karę. Dzisiaj (niestety za późno) przekonałam się, że aby uskładać uczciwie parę groszy, trzeba umieć zarobić na nie pracą własnych rąk lub własnego umysłu.

— Nie rozumiem ciebie — rzekł pajac, który już zaczął drżeć ze strachu.

— Nie szkodzi! Zaraz ci to lepiej wyjaśnię — dodała Papuga. — Dowiedz się zatem, że kiedy ty byłeś w mieście, Lis i Kot powrócili na to pole, zabrali zakopane cekiny i pomknęli jak wiatr. Dzielny ten, kto ich dogoni!

Pinokio otworzył usta ze zdziwienia i, nie chcąc wierzyć słowom Papugi, zaczął rękami i paznokciami wygrzebywać ziemię, którą podlał. Grzebie, grzebie, grzebie, wykopał tak głęboki otwór, że mogłaby się tam zmieścić cała wiązka siana, ale cekinów już tam nie było.

Doprowadzony do rozpacz, popędził co tchu do miasta i poszedł prosto do sądu, aby oskarżyć przed sędzią obu złoczyńców, którzy go tak okradli.

Sędzia był małpą z rasy Gorylów. Stare małpisko szanowano z powodu sędziwego wieku, siwej brody, a zwłaszcza złotych okularów bez szkieł, które zawsze musiało nosić, ponieważ od kilku lat cierpiało na katar oczu.

Stanąwszy przed sędzią, Pinokio opowiedział najdokładniej całe oszustwo, którego padł ofiarą, podał imię, nazwisko i rysopis obu opryszków i zakończył prośbą o wymierzenie kary. Sędzia wysłuchał go bardzo łaskawie i z wielkim zaciekawieniem; roztkliwił się, wzruszył, a kiedy pajac już skończył, wyciągnął rękę i zadzwonił. Na to wezwanie zjawiły się natychmiast dwa buldogi w mundurach żandarmów. Wówczas sędzia, wskazując żandarmom Pinokia, odezwał się:

— Temu biedakowi ukradziono cztery cekiny; weźcie go zatem i natychmiast zaprowadźcie do więzienia.

Usłyszawszy tak ostry wyrok Pinokio stanął jak wryty i usiłował zaprotestować, ale żandarmi, nie chcąc niepotrzebnie tracić czasu, zakneblowali mu usta i odprowadzili do ciemnicy.

I musiał tam przesiedzieć cztery miesiące, cztery strasznie długie miesiące i byłby tam został jeszcze dłużej, gdyby nie pewien nader szczęśliwy wypadek. Bo trzeba wiedzieć, że młody Cesarz panujący w mieście Chwytajcymbałów odniósł wielkie zwycięstwo nad swoimi wrogami i z tej przyczyny zarządził wspaniałe uroczystości publiczne, iluminacje, ognie sztuczne, wyścigi konne i cyklistów, a dla wzbudzenia jeszcze większej radości — pozwolił otworzyć więzienia i wypuścić na wolność wszystkich rzezimieszków.

— Jeżeli inni wychodzą z więzienia, to i ja chcę wyjść — rzekł Pinokio do dozorca.

— Nie — odpowiedział dozorca — ponieważ pan nie zalicza się do tej bandy...

— Przepraszam — odparł Pinokio — ale ja też jestem rzezimieszkiem.

— Wobec tego ma pan zupełną słuszość — rzekł dozorca, i zdejmując czapkę z uszanowaniem, ukłonił mu się, po czym otworzył bramę więzienia i pozwolił mu czmychnąć.

XX

Wypuszczony z więzienia Pinokio chce wrócić do domu Wróżki, ale po drodze spotyka okropnego węża, a potem wpada w paści

Wyobraźcie sobie radość Pinokia, kiedy poczuł się wolny. Chyłkiem opuścił miasto i znowu udał się drogą, która powinna była go zaprowadzić do domku Wróżki.

Na skutek deszczów droga zmieniła się w istne bagno, w którym idąc, brnęło się aż po kolana. Ale pajac nie zważał na to. Dręczyła go tęsknota za tatusiem i siostrzyczką o błękitnych włosach, więc biegł w podskokach jak chart, a w tym pędzie błoto obryzgiwało mu nawet czapeczkę.

Mówił sobie w duchu tak:

„Ileż nieszczęść mnie spotkało... Co prawda, zasłużyłem na nie, gdyż jestem krnąbrnym i dokuczliwym pajacem i zawsze chcę postawić na swoim, nie słuchając tych, co mnie kochają i są sto razy mądrzejsi ode mnie!... Ale od tej chwili! postanawiam zmienić tryb życia i stać się grzecznym i posłusznym chłopcem... Bo przecież na samym sobie się przekonałem, że nieposłuszni chłopcy zawsze ponoszą karę i nigdy im się dobrze nie wiedzie. Czy też tatuś zaczekał na mnie? Czy zastanę go u Wróżki? Biedaczysko, tak dawno go nie widziałem, że mam straszną ochotę uściskać go i wycałować na wszystkie strony! Czy też Wróżka przebaczy mi, że tak brzydko względem niej postąpiłem?... I pomyśleć, że była tak troskliwa, że tak mnie czule pielęgnowała... a to, że jeszcze żyję, zawdzięczam tylko jej!... Czyż jest jakiś chłopak bardziej niewdzięczny i bez serca?

Kiedy tak do siebie mówił, stanął nagle przerażony i odskoczył o cztery kroki w tył. Cóż on takiego zobaczył?

Oto ujrzał rozciągniętego w poprzek drogi wielkiego węża o zielonej skórze, o oczach jak ogień i ostro zakończonym ogonie, z którego dymiło się jak z komina. Niepodobna wyobrazić sobie, jak wielkie było przerażenie pajaca, który oddalwszy się o więcej niż pół kilometra przysiadł na kupce kamieni chcąc poczekać, aż wąż pójdzie sobie i nie będzie przeszkodą na drodze. Czekał godzinę, dwie godziny, trzy godziny, ale wąż leżał ciągle na tym samym miejscu, a nawet z daleka widać było krwawy blask jego żarzących się oczu i słup dymu, który buchał z jego ostro zakończonego ogona. Wtedy Pinokio, uważając się za zucha, zbliżył się do niego na odległość kilku kroków i najśłodszym, najdelikatniejszym, najbardziej przekonywającym głosikiem odezwał się:

— Przepraszam, panie Wężu, czy nie raczyłbyś pan usunąć się troszkę na bok, tyle tylko, żebym mógł przejść?

Ale to było tak, jak gdyby mówił do ściany. Wąż ani się ruszył. Więc pajac mówił dalej tym samym głosikiem:

— Muszę panu powiedzieć, panie Wężu, że idę do domu, gdzie czeka na mnie mój tatuś, którego nie widziałem od tak dawna... Więc czy pozwoli mi pan przejść?

Spodziewał się odpowiedzi na to pytanie, ale odpowiedzi nie było, a nawet wąż, który do tej chwili wydawał się rzeński i pełen życia, znieruchomiał i niemal zdrętwiał. Oczy jego zamknęły się, a ogon przestał dymić.

— Może on naprawdę już nie żyje? — rzekł Pinokio zacierając ręce z wielkiego zadowolenia i, nie tracąc czasu, chciał go przeskoczyć i przejść na drugą stronę drogi. Ale jeszcze nie zdążył podnieść nogi, kiedy wąż wyprostował się nagle jak sprężyna, pajac zaś, odskakując w tył z przerażenia, potknął się i upadł na ziemię.

I do tego runął tak nieszczęśliwie, że leżał do góry nogami, z głową zanurzoną w błocie. Na widok pajaca, który z głową w błocie wywijał nogami z niesłychaną szybkością, wąż dostał takiego napadu śmiechu, że śmiał się i śmiał, i śmiał, aż z tego nadmiaru śmiechu pękła mu żyłka w piersiach i tym razem umarł naprawdę.

Wówczas Pinokio znowu puścił się pędem, żeby jeszcze przed zmrokiem dobiec do domu Wróżki. Ale po drodze głód zaczął mu tak strasznie dokuczać, że nie mogąc dać sobie rady zбочzył na pole z zamiarem uszczknięcia paru kiści winogron muszkatołowych. Gdybyż był tego nie zrobił!

Ledwie dobiegł do winnicy — trzask... i uczył zaciskające mu się na nogach ostre, żelazne kleszcze, a z bólu ujrzał wszystkie gwiazdy na niebie. Biedny pajac wpadł w paści zastawione tam przez wieśniaków na duże kuny, które były plagą wszystkich kurników w okolicy.

XXI

Pinokio zostaje schwytany przez wieśniaka, który go zmusza, żeby pilnował kurnika jako pies łańcuchowy

Jak to sobie możecie wyobrazić, Pinokio zaczął płakać, pisać i wzywać pomocy, ale daremne były te płacze i krzyki, gdyż naokoło nie widać było ani jednego domu, a na drodze ani żywej duszy.

Tymczasem zapadła noc.

Pajac zaczynał już omdlewać, troszkę z bólu, jaki sprawiały mu kleszcze wrzynające się w łydki, a trochę i ze strachu, jaki go obleciał, gdy poczuł się sam w ciemnościach nocy pośród pól, aż nagle ujrzał nad głową robaczka świętojańskiego. Przywołał go i rzekł:

— O Robaczku Świętojański, może zechcesz ulitować się nade mną i uwolnić mnie od tych męczarni?...

— Biedny chłopczyku — odparł Robaczek Świętojański zatrzymując się i patrząc na niego z żalnością. — Jakże to się stało, że dostałeś się w te ostre żelaza?

— Zбочyłem na pole, żeby zerwać parę winogron muszkatołowych i...

— A czy to były twoje winogrona?

— Nie...

— Któż to cię nauczył zabierać cudzą własność?...

— Byłem głodny...

— Głód, mój chłopcze, to jeszcze nie powód, żeby przywłaszczać sobie to, co nie nasze...

— To prawda, to prawda! — zawołał Pinokio płacząc. — Już tego więcej nie zrobię.

W tejże chwili rozmowę ich przerwał leciutki szmer zbliżających się kroków. Był to właściciel pola, który skradał się na palcach, żeby zobaczyć, czy nie wpadła w paść jedna z tych kun, co to pożerały kury nocną porą.

Wielkie było jego zdumienie, kiedy wyciągnąwszy latarkę spod opończy, ujrzał, że zamiast kuny wpadł w potrzask jakiś chłopczyk.

— Ach, złodziejaszku — krzyknął rozgniewany wieśniak — więc to ty wykradasz mi kury?!

— Nie, to nie ja, nie ja! — zawołał Pinokio łkając. — Wszedłem na pole po to, żeby uszczknąć parę winogron!..

— Kto kradnie winogrona, może równie dobrze kraść i kury. Poczekaj tylko, już ja ci dam taką nauczkę, że długo ją sobie popamiętasz. — I otworzywszy paści, chwycił pajaca za kark i poniosł do domu, tak jak się nosi jagniątko.

Przyszedłszy na gumno, rzucił go na ziemię i, trzymając mu nogę na karku, odezwał się:

— Teraz już późno, idę spać. Jutro się policzymy. Ale wobec tego, że zdechł pies, który pilnował domu, zajmiesz natychmiast jego miejsce. Będziesz moim psem łańcuchowym.

Co powiedziawszy, włożył mu na szyję grubą obrozę, całą wysadzaną mosiężnymi kolcami, i zacisnął ją w taki sposób, żeby pajac nie mógł wysunąć głowy z obroży i zrzucić jej. Do obroży przytwierdzony był długi łańcuch, a łańcuch ten przymocowany był do muru.

— Gdyby w nocy zaczęło padać — rzekł wieśniak — możesz się położyć w tej drewnianej budzie. Zostało tam trochę słomy, która przez cztery lata służyła za posłanie memu biednemu psu. A gdyby na nieszczęście przyszli złodzieje, pamiętaj, że masz wyciężyć słuch i czekać.

Po tej ostatniej przestrodze wieśniak wszedł do domu i zaryglował drzwi, a biedny Pinokio przykucnął na ziemi na pół żywy z zimna, głodu i strachu. Od czasu do czasu targając ze złością obrozę, która ścisnęła mu szyję, mówił do siebie z płaczem:

— Dobrze mi tak!... Niestety. Dobrze mi tak! Zachciało mi się być próżniakiem, włóczęgą... Słuchałem złych towarzyszy i dlatego los mnie ciągle prześladowuje. Gdybym był grzecznym chłopczykiem, takim, jakich wielu, gdybym był uczył się i pracował, gdybym był został u mojego biednego tatusia to nie znajdowałbym się tutaj pośród pól jako pies łańcuchowy strzegący zagrody wieśniaka. Ach, gdybym mógł urodzić się po raz drugi!... Ale co robić, teraz już za późno!

Wypowiedziawszy swój żal, płynący prosto z serca, wszedł do budy i usnął.

XXII

Pinokio wykrywa złodziei i w nagrodę zostaje wypuszczony na wolność

Pinokio spał sobie smacznie od przeszło dwóch godzin, kiedy około północy zbudziły go dochodzące od podwórza szmery i syki jakichś dziwnych głosików. Wychyliwszy z psiej budy koniec nosa, ujrzał zebrane na naradę cztery zwierzątka o ciemnej sierści, podobne do kotów. Ale nie były to koty; to były kuny, zwierzątka mięsożerne, szczególnie łakome na jaja i na młodzietkie kurczątką. Jedna z tych kun, odsunawszy się od towarzyszek, podeszła do budy i rzekła półgłosem:

— Dobry wieczór, Melampo!

— Nie nazywam się Melampo.

— A któż ty jesteś?

— Jestem Pinokio.

— A cóż ty robisz w tej budzie?

— To, co robi pies na łańcuchu.

— A gdzie jest Melampo? Gdzie to stare psisko, które mieszkało w tej budzie?

— Umarł dziś rano.

— Umarł? Biedny Melampo! Taki był dobry!... Ale sądząc po twojej minie, to i ty wydajesz mi się wcale uprzejmym psem.

— Przepraszam, nie jestem psem!

— A czymże jesteś?

— Jestem pajacem.

— I służysz za psa podwórzowego?

— Niestety, za karę!...

— Zatem proponuję ci ten sam układ, który zawarłam ze zmarłym Melampo; na pewno będziesz zadowolony.

— A cóż to za układ?

— Tak jak dawniej, raz na tydzień będziemy odwiedzały ten kurnik i zabierały osiem kur. Siedem spożyjemy same, a jedną damy tobie, oczywiście pod warunkiem, że będziesz udawał śpiącego i że ci nie przyjdzie ochota zaszczekać i obudzić gospodarza.

— I Melampo tak właśnie postępował? — zapytał Pinokio.

— Tak postępował i zawsze byliśmy w najlepszej zgodzie. Spij więc spokojnie i bądź pewny, że zanim odejdziemy, zostawimy ci na budzie ślicznie oskubaną kurkę na pierwsze śniadanie. Czyśmy się już dobrze porozumieli?

— Aż za dobrze! — odpowiedział Pinokio i jakoś groźnie potrząsnął głową, jak gdyby chciał rzec: „Wkrótce pomówimy jeszcze o tym!”

Kiedy owe cztery kuny przekonały się, że mogą bezpiecznie działać, poszły prościutko do kurnika, który znajdował się tuż obok psiej budy; pracując zębami i pazurkami, otworzyły drzwiczki, które zamykały wejście, i wsunęły się do środka jedna po drugiej. Ale gdy tylko zdążyły wejść, usłyszały gwałtowny trzask, zamykających się drzwiczek. Tym, co je zatrzasnął, był Pinokio, który nie zadowolony sam zamknięciem położył jeszcze przed drzwiczkami ogromny kamień dla większej pewności i podpory.

A potem zaczął szczekać, i to tak jak prawdziwy pies łańcuchowy: „hau, hau, hau, hau”.

Usłyszawszy to szczekanie, wieśniak zerwał się z łóżka, chwycił strzelbę i wychylając się z okna zapytał:

— Cóż się tam stało?

— Złodzieje! — zawołał Pinokio.

— Gdzież są?

— W kurniku.

— Zaraz tam zejść.

I rzeczywiście w okamgnieniu wieśniak był już na dole i, wpadłszy do kurnika, złapał kuny i wpakował je do worka, po czym przemówił do nich głosem pełnym prawdziwego zadowolenia:

— Nareszcie wpadłyście mi w ręce! Mógłbym was ukarać, ale nie jestem tak podły. Poprzestaną na tym, że was zaniosę jutro do oberżysty w pobliskiej wsi, który ściągnie z was skórki i przyrządzi w szarym sosie, tak jak zająca. Jest to zaszczyt, na który nie zasługujecie, ale ludzie tak wspaniałomyślni jak ja nie zważają na takie drobnostki!... — Po czym, zbliżywszy się do Pinokia, zaczął go głaskać i pieścić i między innymi zapytał go:

— W jaki sposób odkryłeś spisek tych czterech złodziejek? I pomyśleć, że Melampo, mój wierny Melampo, nigdy nic nie zauważył!...

Pajac byłby mógł opowiedzieć, co wiedział, to znaczy wyjawić haniebne porozumienie psa z kunami, ale przypomniał sobie, że pies zdechł, od razu pomyślał w duchu:

„Po co oskarżać umarłych? Zmarły jest zmarłym i najlepszą rzeczą jest zostawić go w spokoju!”

— A w chwili kiedy kuny zjawiły się na gumnie, spałeś czy też czuwałeś?

— Spałem — odparł Pinokio — ale kuny obudziły mnie swoimi sykami, a jedna z nich podeszła nawet do budy i powiedziała mi: „Jeżeli przyrzekniesz, że nie zaszczekasz i nie zbudzisz gospodarza, to podarujemy ci ślicznie oskubaną kurkę!” Rozumie pan, prawda? Co za bezczelność zwrócić się do mnie z podobną propozycją! Bo trzeba wiedzieć, że jestem wprawdzie pajacem pełnym wszelkich wad, jakie tylko są, ale nigdy nie dam się wciągnąć w jakieś brudne sprawy i nigdy nie będę pomagał lajdakom!

— Dobrze, mój chłopcze! — zawołał wieśniak klepiąc go po ramieniu. — Takie zasady przynoszą ci zaszczyt, więc chcąc ci okazać moje wielkie zadowolenie, puszczam cię na wolność, żebyś od razu mógł wrócić do domu.

I zdjął mu z szyi psią obrozę.

XXIII

Pinokio oplakuje śmierć pięknej Dzieweczki o błękitnych włosach, potem znajduje Gołębia, który przynosi go na brzeg morza; tam rzuca się w wodę, aby ratować swojego tatusia Dżepetta

Gdy już nie czuł na szyi twardego i upokarzającego ciężaru obroży, Pinokio popędził przez pola i nie przystanął ani na chwilę, póki nie dobiegł do gościńca, który prowadził do domku Wróżki. Dotarłszy do gościńca, odwrócił się i spojrzał w dół w dolinę, gołym okiem dostrzegł wyraźnie lasek, gdzie na swe nieszczęście spotkał Lisa i Kota, dostrzegł między drzewami wierzchołek Wielkiego Dębu, na którym powieszono go za szyję, ale mimo że się rozglądał na prawo i lewo, nie mógł dojrzeć małego domku pięknej Dzieweczki o błękitnych włosach. Ogarnięty smutnym przeczuciem, zaczął biec co sił w nogach i po kilku minutach znalazł się na łące, gdzie kiedyś wznosił się biały domek. Ale białego domku już nie było. Była natomiast mała płyta marmurowa, na której wyryte były następujące bolesne słowa:

TU LEŻY
DZIEWECZKA O BŁĘKITNYCH WŁOSACH,
ZMARŁA Z ŻALU
PO STRACIE BRACISZKA PINOKIA,
KTÓRY JĄ OPUŚCIŁ

Co się działo z pajacem, kiedy z trudem przesyłabizował te słowa, to już sami możecie sobie wyobrazić. Padł twarzą na ziemię i, pokrywając pocałunkami tę płytę grobową, wybuchnął wielkim płaczem. Płakał przez całą noc, płakał następnego ranka i przez cały dzień, chociaż oczom jego zabrakło już łez, a skargi i lamenty były tak rozdzierające i tak głośne, że wszystkie okoliczne wzgórza powtarzały je echem.

I tak mówił łkając:

— O Wróżko moja, czemu umarłaś?... Czemuż, zamiast ciebie, nie umarłem ja, który jestem tak zły, gdy ty byłaś tak dobra?... A gdzie jest mój tatuś? O Wróżko ty moja, powiedz mi, gdzie go odnaleźć, ponieważ chcę na zawsze zostać przy nim i nigdy go już więcej nie opuścić, nigdy! Nigdy! Nigdy więcej!... Wróżko moja, powiedz mi, że to nieprawda, jakobyś umarła!... Jeżeli istotnie mnie kochasz..., jeżeli kochasz swojego braciszka, ożyj... Bądź żywa, jak przedtem!... Nie jest ci przykro, że taki sam i opuszczony; przez wszystkich? Jeżeli przyjdą zbójcy, to znowu zawieszają mnie na gałęzi drzewa... i wtedy umrę na zawsze. I cóż mam teraz począć sam na świecie? Kiedy już straciłem i ciebie, i mego tatusia, kto mi da pożywienie? Gdzie spędzę noc? Kto mi uszyje nowy kubraczek? Och! Byłoby lepiej, sto razy lepiej, gdybym i ja umarł! Tak, chcę umrzeć! O! O! O!...

I rozpaczając w ten sposób, zrobił gest, jak gdyby chciał wydrzeć sobie włosy z głowy, ale jego włosy były z drzewa, toteż nie udało mu się nawet wetknąć w nie palców.

A właśnie górą szybował wielki Gołąb-garłacz, który rozpiąwszy skrzydła zatrzymał się w locie i zawołał z dużej wysokości:

— Co tu robisz, moje dziecko?

— Nie widzisz? Płaczę — odparł Pinokio podnosząc głowę w kierunku głosu i ocierając sobie oczy rękawem surducika.

— Powiedz mi — dodał wtedy Gołąb — czy przypadkiem nie znasz wśród swoich towarzyszy pewnego pajaca, nazwiskiem Pinokio?

— Pinokio?... Powiedziałeś Pinokio? — powtórzył pajac zrywając się natychmiast na równe nogi. — Pinokio to ja!

Usłyszawszy tę odpowiedź, Gołąb spłynął szybko w dół i usiadł na ziemi. Był większy niż indyk.

— A więc znasz również i Dżeppetta? — zapytał pajaca.

— Czy go znam?! Przecież to mój biedny tatuś! Może wspominał ci o mnie? Zaprowadzisz mnie do niego? Ale czy on jeszcze żyje? Zlituj się, powiedz mi, czy jeszcze żyje?

— Trzy dni temu zostawiłem go na brzegu morza.

— Cóż on tam robił?

— Budował sobie czółenko, żeby się przepawić przez ocean. Biedaczysko od czterech miesięcy przebiega ziemię w poszukiwaniu ciebie, a teraz, nie mogąc cię odnaleźć, wbił sobie do głowy, że cię zacznie szukać w dalekich krajach Nowego Świata.

— A jak daleko stąd do morskiego brzegu? — zapytał z serdeczną troską Pinokio.

— Przeszło tysiąc kilometrów.

— Tysiąc kilometrów? O mój Gołębiu, jak by to było pięknie, gdybym miał twoje skrzydła!

— Jeżeli chcesz, zaniosę cię tam.

— A to jak?

— Wsiądziesz na mnie jak na konia. Czy jesteś bardzo ciężki?

— Ja? Ciężki? Jestem lekki jak listek.

I nie tracąc więcej słów, Pinokio skoczył na grzbiet Gołębia, jedną nogę przerzucił na prawo, drugą na lewo, tak jak to robią jeźdźcy, i zawołał wielce uradowany:

— Pędź, pędź, mój koniku, bo mi się strasznie spieszy!...

Gołąb pofrunął i w przeciagu kilku minut wznosił się tak wysoko, że niemal sięgał chmur. Znalazłszy się na tej niezwykłej wysokości pajac, zaciekawiony, odwrócił się chcąc spojrzeć w dół, ale zdjął go strach taki i dostał takiego zawrotu głowy, że aby uniknąć runięcia na ziemię, kurczowo chwycił się za szyję swojego pierzastego wierzchowca. Lecieli przez cały dzień. Pod wieczór Gołąb odezwał się:

— Jestem bardzo spragniony!

— A ja bardzo głodny! — dodał Pinokio.

— Wstąpmy na parę minut do tego gołębnika, a potem polecimy dalej, żeby jutro o świcie być już nad brzegiem morza.

Weszli do opustoszałego gołębnika, gdzie znaleźli tylko miseczkę pełną wody i koszyczek napelniony po brzegi wyką.

Pajac przez całe życie nie cierpiał wyki; powiadał, że mu sprawia nudności, że mu szkodzi na żołądek, ale tego wieczora napchał się nią tak, że o mało nie pękł, a kiedy wyjadł wszystko, zwrócił się do Gołębia i rzekł:

— Nigdy bym nie uwierzył, że wyka jest taka smaczna!

— Trzeba sobie powiedzieć, mój chłopcze — odparł Gołąb — że kiedy głód doskwiera, a nie ma nic innego do jedzenia, to i wyka staje się przysmakiem! Głód nie zna ani kaprysów, ani smakoszostwa!

Po tej małej przekasce zabrali się znowu w drogę. Nazajutrz, rankiem, przylecieli nad brzeg morza. Gołąb postawił Pinokia na ziemi i żeby uniknąć nudnych podziękowań za spełnienie dobrego uczynku, od razu wbił się w górę i znikł. Na brzegu pełno było ludzi, którzy krzyczeli i coś pokazywali patrząc w kierunku morza.

— Co się stało? — zagadnął Pinokio jakąś staruszkę.

— To się stało, że pewien biedny tatuś, któremu zginął syn, chciał wsiąść do łódeczki i popłynąć, żeby go szukać po tamtej stronie morza, ale dzisiaj morze jest strasznie wzburzone i łódeczka gotowa się wywrócić...

— Gdzie jest ta łódeczka?

— O tam, tam, na wprost mego palca — odrzekła staruszka wskazując łódeczkę, która z tej odległości wydawała się łupiną orzecha z maluteńkim człowieczkiem w środku.

Pinokio wyteżył wzrok i, przyjrzawszy się uważnie, wydał przeraźliwy krzyk i zawołał:

— To przecież mój tatuś! To jest mój tatuś!

A tymczasem łódeczka, miotana srożącą się burzą, już to znikła wśród rozhukanych bałwanów, już to pojawiała się z powrotem na powierzchni morza. Pinokio, stojąc na cyplu wysokiej skały, ciągle wzywał po imieniu swojego tatusia i dawał mu najrozmaitsze znaki rękami, chustką do nosa, a nawet czapeczką, którą miał na głowie.

I zdawało się, jakoby Dzeppetto, chociaż był daleko od brzegu, także rozpoznał synka, ponieważ i on zdjął czapkę na powitanie, po czym gwałtownymi gestami dawał mu do zrozumienia, że chętnie by zawrócił, ale że rozszałałe morze nie pozwala mu utrzymać wiosła w ręce i podплыnąć do brzegu. Nagle przysłała straszliwa fala i łódka znikła. Czekano, czy wypłynie, ale już nie wypłynęła.

— Biedny człowiek! — powiedzieli wówczas zgromadzeni na brzegu rybacy i, mrużąc po cichu modlitwę, zabierali się z powrotem do swoich domów.

Aż tu nagle usłyszeli rozpaczliwy krzyk i odwróciwszy się ujrzeli chłopczyka, który ze szczytu skały rzucił się do morza wołając:

— Chcę ratować tatusia!

Pinokio, jako że był z drzewa, lekko unosił się na fali i pływał jak ryba. Raz zniknął pod wodą porwany wzburzonymi falami, to znowu — w wielkiej odległości od lądu — dostrzegano jego nogę lub ramię. W końcu stracono go z oczu i już więcej nie ujrzano.

— Biedny chłopiec! — powiedzieli wówczas zgromadzeni na brzegu rybacy i, mrużąc po cichu jakąś modlitwę, wrócili do swoich domów.

XXIV

Pinokio przybywa na Wyspę Pracowitych Pszczół i odnajduje Wróżkę

W nadziei, że przybędzie na czas, aby ratować swojego biednego ojca, Pinokio płynął przez całutką noc.

A cóż to była za straszna noc! Ulewa, grad, przerażające grzmoty i błyskawice tak oślepiające, iż chwilami zdawało się, że to dzień. Nad ranem udało się mu dostrzec w niedalekiej odległości jakieś długie pasmo ziemi. Była to wyspa na środku morza.

Wówczas wyteżył wszystkie siły, żeby dopłynąć do brzegu: ale na próżno. Przewalające i toczące się w poprzek fale podrzucały go sobie, jak gdyby był źdźbłem albo słomką. W końcu, na szczęście dla niego, runęła fala tak ogromna i gwałtowna, że całym ciężarem wyrzuciła go na piasek wybrzeża. Uderzenie było tak silne, że kiedy padł na ziemię, zatrzeszczały mu wszystkie żebra i stawy, jednak pocieszył się od razu mówiąc:

— Nawet i tym razem udało mi się wyjść cało!

Tymczasem niebo zaczęło z wolna się wypogadzać, słońce ukazało się w całym blasku, a morze stało się spokojne i gładkie jak oliwa.

Wówczas pajac rozłożył swoje ubranko na słońcu, żeby wyschło, i zaczął rozglądać się tu i tam, czy przypadkiem na tej olbrzymiej, gładkiej powierzchni wody nie widać łódeczki z małym człowieczkiem w środku. Ale chociaż dobrze wypatrywał, nie widział nic oprócz nieba, morza i gdzieniegdzie żagla, ale tak daleko, że wydawał się maleńką muszką.

— Żebym przynajmniej wiedział, jak się nazywa ta wyspa! — mówił sobie. — Żebym przynajmniej wiedział, czy tu mieszkają dobrze wychowani ludzie, to znaczy tacy, którzy nie mają brzydkiego nałogu wieszania swych chłopców na gałęziach. Ale kogo mógłbym o to zapytać? Kogo, skoro tu nikogo nie ma?

Na tę myśl, że znalazł się sam, tak bardzo, bardzo sam na tej ogromnej nie zamieszkaney przez nikogo wyspie, zdjął go taki smutek, że już, już miał zapłakać, gdy nagle ujrzął niedaleko od brzegu wielką rybę, która wychyliwszy głowę nad wodę płynęła sobie spokojnie, zajęta swoimi sprawami. Nie wiedząc, jak ona się nazywa, pajac krzyknął głośno, tak żeby go było słycać:

— Hej, pani Rybo, pozwoli mi pani powiedzieć jedno słówko?

— Nawet dwa — odpowiedziała Ryba, która nie była rybą, tylko delfinem, i to tak grzecznym, jakich mało na wszystkich morzach świata.

— Proszę mi powiedzieć, z łaski swojej, czy na tej wyspie są jakieś ludzkie osady, gdzie można by coś zjeść, nie narażając się na niebezpieczeństwo, że się będzie zjedzonym przez innych.

— Pewnie że są — odparł Delfin. — Niedaleko stąd znajdziesz taką mieścinę.

— A którą mam pójść?

— Tą dróżką na lewo i ciągle prosto nosa. Na pewno nie zbłądzisz.

— A teraz proszę mi powiedzieć jeszcze jedną rzecz, pani, która dzień i noc kręcisz się po morzu, czy przypadkiem nie spotkałaś małej łódeczki z moim tatusiem w środku?

— A któż to jest ten twój tatuś?

— To jest najlepszy tatuś na świecie, tak jak ja jestem najgorszym synem, jakiego można sobie wyobrazić.

— Podczas burzy, która szalała tej nocy — odparł Delfin — łódeczka na pewno poszła pod wodę.

— A mój tatuś?

— Do tej pory na pewno połknął go już potworny rekin, który od kilku dni sieje postrach i pustoszy nasze wody.

— Czy bardzo wielki jest ten rekin? — zapytał Pinokio, który już zaczynał się trząść ze strachu.

— Czy jest wielki? — odparł Delfin. — Żebyś go sobie mógł wyobrazić, powiem ci, że jest większy od pięciopiętrowej kamienicy, a paszczę ma tak szeroką i przepaścistą, że mógłby wygodnie wjechać w nią cały pociąg wraz z rozpaloną maszyną.

— O matko! — krzyknął przerażony pajac i, odziewszy się w największym pośpiechu, zwrócił się do Delfina i rzekł: — Do widzenia, przepraszam za kłopot i stokrotnie dziękuję za uprzejmość!

Powiedziawszy to, skierował kroki na dróżkę i ruszył nią szybko, tak szybko, że można to było niemal nazwać biegiem. Za każdym najlżejszym szmerem natychmiast się odwracał w obawie, czy go nie ściga ów straszliwy rekin, ogromny jak pięciopiętrowa kamienica, i to jeszcze z całym pociągiem w pysku. W pół godziny dotarł do miasteczka zwanego Krainą Pracowitych Pszczół. Ulice roiły się od ludzi, którzy biegli tu i tam, ogromnie zajęci; wszyscy pracowali, wszyscy mieli coś do zrobienia. Nawet ze świeczką nie znalazłbyś tam próżniaka czy też włóczęgi.

— Rozumiem — powiedział od razu ten leniwiec Pinokio — ta kraina nie dla mnie! Nie jestem stworzony do pracy!

Tymczasem głód doskwierał mu bardzo, ponieważ od dwudziestu czterech godzin nic nie jadł, nawet tej odrobiny wyki.

— Co tu począć?

Pozostały mu tylko dwa sposoby na to, aby zaspokoić głód: albo poprosić o jakąś pracę, albo zebrać o grosz lub kawałek chleba. Żebrać wstydział się, gdyż ojciec pouczał go zawsze, że o jałmużnę mogą prosić tylko ludzie starzy i chorzy. Prawdziwymi biednymi na tym świecie, tymi, co zasługują na wsparcie i litość, są tylko ci, którzy czy to z powodu podeszłego wieku, czy też choroby nie mogą już zarobić na chleb pracą własnych rąk. Wszyscy inni mają obowiązek pracować, a jeżeli nie chcą pracować i cierpią głód, tym gorzej dla nich.

W tej właśnie chwili przechodził ulicą jakiś człowiek spocony i zadyszany, gdyż sam jeden ciągnął z trudem dwa wózki naładowane węglem.

Pinokio wyczytawszy z jego twarzy, że to musi być zacy człowiek, podszedł do niego i, spuszczając oczy, szepnął:

— Może dacie mi z litości choć jednego solda, bo czuję, że umieram z głodu.

— Nie tylko jednego solda — odpowiedział węglarz — chętnie dam ci nawet cztery, pod warunkiem, że mi pomożesz zaciągnąć do domu te dwa wózki z węglem.

— Bardzo się dziwię! — odpowiedział pajac niemal obrażony. — Trzeba wam wiedzieć, że nigdy nie byłem zwierzęciem pociagowym, że nigdy nie pchałem wózka!

— Tym lepiej dla ciebie! — odparł węglarz. — Wobec tego, mój chłopcze, jeżeli naprawdę umierasz z głodu, to zjedz sobie ze dwie piękne kromeczki własnej pychy i uważaj, żebyś nie dostał niestrawności.

Po kilku minutach przechodził ulicą murarz niosąc na ramieniu wiadro z wapnem.

— Zacy człowieku, nie moglibyście ulitować się i dać solda biednemu chłopcu, który aż ziewa z głodu?

— Bardzo chętnie. Chodź nosić ze mną wapno — rzekł murarz — a zamiast jednego solda, dam ci pięć.

— Ale wapno jest ciężkie — odparł Pinokio — a ja nie chcę się męczyć.

— Jeżeli nie chcesz się męczyć, mój chłopcze, to baw się ziewaniem i niech ci wyjdzie na zdrowie.

W niespełna pół godziny przeszło tak ze dwadzieścia innych osób, a wszystkie na prośbę o jałmużnę odpowiadały pajacowi:

— Nie wstydzisz się? Zamiast włóczyć się po ulicach, poszukaj sobie raczej jakiejś pracy i naucz się zarabiać na chleb!

Na koniec ukazała się na drodze jakaś poczciwa kobiecina, która niosła dwie konewki wody.

— Pozwolicie mi, zacna gosposiu, wypić łyk wody z waszej konewki? — zapytał Pinokio, którego paliło pragnienie.

— Ależ tak, napij się, mój chłopcze! — odpowiedziała kobieta stawiając konewki na ziemi.

Kiedy już napił się wodą jak gąbka, Pinokio mruknął półgłosem, ocierając sobie usta:

— Pragnienie już zaspokoilem! Gdybym jeszcze mógł zaspokoić głód!

Słyszając te słowa, zacna kobiecina od razu dodała:

— Jeżeli mi pomożesz zanieść do domu jedną konewkę wody, dam ci duży kawałek chleba.

Pinokio spojrział na konewkę, ale nie odrzekł ani tak, ani nie.

— A do tego chleba dostaniesz jeszcze kalafior zaprawiony oliwą i octem — dorzuciła kobiecina.

Pinokio znowu spojrział na konewkę, ale nie odpowiedział ani tak, ani nie.

— A na deser dostaniesz cukierki z likierem. Pokusom tych ostatnich łakoci nie mógł się już Pinokio oprzeć i, zdecydowawszy się, rzekł:

— Co mam robić? Zaniosę wam konewkę do domu! Konewka była bardzo ciężka, a pajac, nie mając dość sił, ażeby ją unieść w rękach, musiał ją nieść na głowie.

Gdy przybyli do domu, dobra kobiecina posadziła Pinokia przy nakrytym stolczku i postawiła przed nim kawał chleba, talerz z kalafiorem w oliwie i słodycze. Pinokio nie jadł, ale pożerał. Żołądek jego wydawał się pustą izbą, nie zamieszkaną od pięciu miesięcy.

Uspokoiwszy z wolna okropnie dokuczliwy głód Pinokio podniósł głowę, żeby podziękować swojej dobrodziejce, ale zanim jeszcze zdołał dobrze jej się przyjrzeć, wydał ze zdziwienia przeciągły okrzyk „oooch” ... i jak zaczarowany znieruchomiał z szeroko otwartymi oczami, z widelcem w podniesionej ręce i z ustami pełnymi chleba i kalafiora.

— Cóż cię tak zadziwia? — zapytała ze śmiechem zacna kobiecina.

— To, że... — odpowiedział Pinokio jękając się — dlatego że... że... Pani mi przypomina... Pani jest podobna... tak, tak, tak... ten sam głos... te same oczy... te same włosy... tak, tak,

tak... Pani też ma błękitne włosy... tak jak ona! O Wróżko!... Wróżko ty moja!... Powiedz mi, że to ty, że to właśnie ty!... Żebym już nie płakał więcej! Gdybyś wiedziała... ile się napłakałem, ile wycierpiałem!...

Mówiąc to, Pinokio rozbeczał się na dobre i, padłszy na ziemię, objął rękami kolana tajemniczej kobiety.

XXV

*Pinokio przyrzeka Wróżce, będzie posłuszny i że będzie się uczył.
Sprzykrzyło mu się być pajacem i chce zostać grzecznym chłopcem*

Zacna kobiecina mówiła zrazu, że nie jest małą Wróżką o błękitnych włosach, ale widząc, że już odgadł, i nie chcąc odgrywać dłuższej komedii, dała się w końcu poznać i rzekła do Pinokia:

— A ty hultaju! Po czym poznałeś, że to ja?

— Powiedziała mi to moja wielka miłość do ciebie.

— Pamiętasz? Byłam dziewczynką, kiedy mnie porzuciłeś, a teraz, kiedy mnie odnalazłeś, jestem kobietą tak dorosłą, że niemal mogłabym ci zastąpić matkę.

— Ach, to bardzo miłe, bo zamiast siostrzyczką będę cię nazywał mamą. Już od tak dawna pragnę mieć mamę, tak jak inni chłopcy!... Ale jak się to stało, żeś tak szybko wyrosła?

— To tajemnica.

— Zdradź mi ją, ja także chciałbym urosnąć trochę. Widzisz? Ja ciągle jestem taki malutki jak Tomcio Paluch.

— Kiedy ty nie możesz urosnąć — odparła Wróżka.

— Dlaczego?

— Dlatego że pajace nie rosną. Rodzą się jako pajace, żyją jako pajace i umierają jako pajace.

— Och! Znudzilo mi się być ciągle pajacem! — krzyknął Pinokio stukając się w głowę. — Byłby już czas, żebym i ja stał się człowiekiem takim jak inni.

— Staniesz się człowiekiem, jeśli potrafisz zasłużyć na to...

— Doprawdy? A co mam zrobić, żeby zasłużyć na to?

— To bardzo łatwe: musisz być grzecznym chłopczykiem.

— A czy ja nie jestem greczny? -

— Ani trochę! Dobrze wychowani chłopcy są posłuszni, ty zaś...

— Ja nigdy nie jestem posłuszny.

— Dobrze wychowani chłopcy lubią naukę i pracują z zapałem, a ty...

— A ja próżnuję i wałęsam się jak rok długi.

— Grzeczni chłopcy zawsze mówią prawdę, ty zaś...

— A ja zawsze kłamię.

— Grzeczni chłopcy chętnie chodzą do szkoły...

— A ja w szkole dostaję boleści. Ale od dziś chcę zmienić tryb życia.

— Przyrzekasz mi to?

— Przyrzekam. Ja także chcę być posłusznym chłopczykiem i pociechą dla mojego tatusia... Gdzie on może być w tej chwili?

— Tego nie wiem.

— Czy będę miał kiedy szczęście ujrzeć go i uściskać?

— Sądzę, że tak, a nawet jestem tego pewna.

Ta odpowiedź tak uradowała Pinokia, że pochwywszy; ręce Wróżki zaczął całować je z uniesieniem. Potem podnosząc twarz i patrząc na nią czule, zapytał:

— Powiedz mi, mamusiu, więc to nieprawda, jakobyś umarła?

— Widać, że nie — odparła Wróżka z uśmiechem.

— Gdybyś wiedziała, jaki mnie przeszył ból i jak mnie ścisnęło w gardle, kiedy przeczytałem: „Tu leży...”

— Wiem o tym i dlatego przebaczyłam ci. Szczerłość twojego bólu przekonała mnie o tym, że masz dobre serce a chłopcy, co mają dobre serce, choćby byli nawet i trochę urwisami i mieli złe nawyki, zawsze mogą się poprawić i powrócić na dobrą drogę. Oto dlatego przyszedłam tu po ciebie. Będę twoją mamusią...

— Ach, jak to pięknie! — zawołał Pinokio skacząc z radości.

— Będiesz mi posłuszny i zawsze będziesz robił to, co ci każę?

— Chętnie, chętnie, chętnie!

— Od jutra — dodała Wróżka — zaczniesz chodzić do szkoły.

Pajacowi od razu zrzęda mina.

— Potem wybierzesz sobie wedle upodobania jakiś zawód albo jakieś rzemiosło. Pinokio spoważniał.

— Co tam mruyczysz do siebie? — zapytała Wróżka gniewnym tonem.

— Mówilem — westchnął pajac półgłosem — że już za późno, aby się uczyć...

— Nie, mój paniczu. Pamiętaj sobie, że nigdy nie jest za późno uczyć się i zdobywać wiedzę.

— Ale ja nie chcę ani rzemiosła, ani żadnego zawodu.

— Dlaczego?

— Dlatego że praca mnie męczy.

— Mój chłopcze — rzekła Wróżka — ci, którzy tak mówią, prawie zawsze kończą albo w więzieniu, albo w szpitalu. Musisz wiedzieć, że na tym świecie każdy człowiek, czy rodzi się bogaty, czy biedny, obowiązany jest zająć się czymś, robić coś, pracować. Biada temu, kto oddaje się próżniactwu! Próżniactwo to najgorsza choroba, którą trzeba leczyć natychmiast, od samego dzieciństwa; później, kiedy jesteśmy dorośli, nie można się już z niej wyleczyć.

Te słowa poruszyły umysł Pinokia, który podnosząc żywo głowę rzekł do Wróżki:

— Będę się uczył, będę pracował, zrobię wszystko, co mi każesz, bo ostatecznie już mi obrzydło życie pajaca i chcę stać się chłopcem za każdą cenę. Przrzekłeś mi to, nieprawdaż?

— Przrzekłam ci, a teraz wszystko zależy od ciebie.

XXVI

Pinokio idzie ze swoimi kolegami szkolnymi nad brzeg morza, żeby zobaczyć straszliwego rekina

Nazajutrz poszedł Pinokio do szkoły miejskiej.

Wyobraźcie sobie tych chłopaków urwipółciów, kiedy ujrzeli wchodzącego do ich szkoły pajaca! Śmiechu było co niemiara. Każdy mu zrobił jakiegoś figla: ten mu wyrwał z ręki czapeczkę, tamten szarpnął go z tyłu za surducik, jeden starał się namalować mu atramentem duże wąsy pod nosem, a byli nawet tacy, którzy usiłovali przywiązać mu nitki do rąk i nóg, żeby zatańczył. Pinokio zlekceważył to zrazu i szedł naprzód, ale w końcu, czując, że traci cierpliwość, zwrócił się do tych, którzy go najbardziej dręczyli i natrzęsali się z niego, i krzyknął ostro:

— Uważajcie, chłopcy, ja nie po to tu przyszedłem, żeby być waszym błaznem! Szanuję innych i żądam, aby i mnie szanowano.

— Brawo, półdiabłu! Przemawiasz jak drukowana książka! — wrzasnęły hultaje pokładając się ze śmiechu, a najzuchwalszy ze wszystkich chciał pociągnąć pajaca za koniec nosa.

Ale nie zdążył, gdyż Pinokio wsunął nogę pod stół i kopnął go w tydkę.

— A! Jakie twarde nogi! — krzyknął chłopak rozcierając sobie siniec.

— A jakie łokcie!... Jeszcze twardsze od nóg! — odezwał się inny, który za swoje głupie żarty dostał kuksa w brzuch.

Faktem jest, że po tym kopniaku i po tym uderzeniu łokciem Pinokio zdobył sobie od razu szacunek i sympatię kolegów; wszyscy go głaskali, wszyscy go kochali z duszy i serca.

A nawet i pan nauczyciel go chwalił, gdyż widział, że pajac jest pilny, pracowity, inteligentny i że zawsze pierwszy przybywa do szkoły, a wychodzi ostatni po skończonej nauce.

Jedyną jego wadą było to, że się zanadto zadawał z koleżkami, wśród których było dużo łobuzów znanych z próżniactwa i niechęci do nauki.

Pan nauczyciel ostrzegał go codziennie, a dobra Wróżka powtarzała:

— Uważaj, Pinokio! Twoi źli towarzysze wcześniej czy później odciągną cię od nauki, a może nawet sprowadzą na ciebie jakieś wielkie nieszczęście.

— Nie ma obawy! — odpowiadał pajac wzruszając ramionami i wskazując palcem na czoło, jak gdyby chciał powiedzieć: „Ja już mam swój rozum!”

Aż oto pewnego pięknego dnia, kiedy szedł do szkoły, spotkał gromadę tych samych koleżków, którzy biegnąc naprzeciw zawołali:

— Wielka nowina! Wiesz już, co się stało?

— Nie wiem.

— W morzu, niedaleko stąd, ukazał się rekin tak ogromny jak góra.

— Doprawdy?... Czyżby to był ten sam rekin, którego widziano, kiedy utonął mój biedny tatuś?

— Idziemy właśnie na wybrzeże, żeby go zobaczyć! Idziesz z nami?

— Nie, idę do szkoły.

— E, co tam szkoła. Jutro pójdziemy do szkoły. Jedna lekcja mniej czy więcej, to nie ma znaczenia, i tak zostaniemy takimi samymi osłami.

— A co powie pan nauczyciel?

— Niech sobie mówi, co chce. Za to mu właśnie płacą, żeby zrzędził przez cały dzień.

— A moja mamusia?

— Mamusie i tak nigdy o niczym nie wiedzą — odpowiedziały te gałgany.

— Wiecie, co zrobię? — rzekł Pinokio. — Mam pewne przyczyny, dla których chcę zobaczyć tego rekina... Ale pójdę tam po szkole.

— A to głuptas! — zawołał jeden z kolegów. — Myślisz, że ryba tej wielkości będzie czekała na ciebie? Gdy jej się znudzi, popłynie w przeciwnym kierunku i tyłeś ją widział.

— Jak daleko stąd do wybrzeża? — zapytał pajac.

— W godzinę jesteśmy tam i z powrotem.

— A więc naprzód! A kto szybciej dobiegnie, ten jest dzielniejszy! — krzyknął Pinokio.

Na ten sygnał gromadka urwisów, z książkami i zeszytami pod pachą, puściła się pędem przez pola. Pinokio zawsze się trzymał na czele; zdawało się, jakoby miał skrzydła u nóg. Od czasu do czasu odwracał się i drwił sobie z towarzyszy, którzy pozostawali daleko w tyle, a widząc, jak biegają zdyszani, zziajani, zakurzeni i z wywieszonymi językami, śmiał się z nich serdecznie. Biedaczek nie wiedział jeszcze w owej chwili, jakie strapienia, jakie okropne szczęścia czyhały na niego.

XXVII

Wielka bitwa Pinokia z kolegami, z których jeden zostaje ranny.

Karabinierzy aresztują Pinokia

Dobiegłszy do brzegu, Pinokio od razu rozejrzał się uważnie po morzu, ale nie spostrzegł żadnego rekina. Morze było gładkie i kryształowe jak tafla lustrzana.

— A gdzie jest rekin? — zapytał zwracając się do kolegów-.

— Pewnie poszedł na śniadanie — odrzekł jeden z nich ze śmiechem.

— Albo rzucił się na łóżko, żeby uciąć sobie drzemkę — dodał drugi śmiejąc się jeszcze głośniejsze.

Z tych niewyraźnych odpowiedzi i z tych głupkowatych śmiechów Pinokio zrozumiał, że koledzy po prostu nabrali go, mówiąc mu coś, co było nieprawdą, toteż rozgniewawszy się, krzyknął ostro:

— I co? Gdzież tu jaki sens opowiadać mi historię o rekinie?

— Sens jest, i to na pewno — odpowiedziały chórem urwisy.

— To znaczy?

— Żebyś raz puścił kantem szkołę i poszedł z nami. Czy ci nie wstyd być zawsze tak punktualnym i pilnym uczniakiem? Kujesz dzień w dzień i nie wstydzisz się?

— A co was to obchodzi, że ja się uczę?

— Bardzo nas obchodzi, gdyż przez ciebie pan nauczyciel ma o nas jak najgorszą .opinię.

— Dlaczego?

— Dlatego że uczniowie, którzy są pilni, zawsze usuwają w cień tych, którzy, jak my, nie mają ochoty do nauki. A my nie chcemy, żeby nas lekceważono! My też mamy swoją ambicję!

— Więc cóż mam począć, żeby wam dogodzić?

— Musisz i ty obrzydzić sobie szkołę, lekcje i nauczyciela, bo to jest troje naszych największych wrogów.

— A gdybym nadal chciał się uczyć?

— Wtedy nie spojrzemy już na ciebie i przy pierwszej sposobności zapłacisz nam za to!...

— Doprawdy, chce mi się z was śmiać – powiedział pajac potrząsając głową.

— Ejże, Pinokio! — krzyknął najstarszy z chłopców grożąc mu.

— Nie udawaj nam tu zucha, nie stawiaj się zanadto! Jeżeli nie boisz się nas, to i my nie boimy się ciebie! Pamiętaj, że jesteś sam, a nas jest siedmiu.

— Tak jak siedem grzechów głównych – rzekł Pinokio wybuchając śmiechem.

— Słyszeliście? Obraził nas wszystkich! Powiedział, że jesteśmy jak siedem grzech głównych!... Pinokio, przeproś nas za tę obrazę!... Jeżeli nie, to biada ci!

— A kuku! – zawołał pajac uderzając palcem w koniec swego nosa, na znak, że kpi sobie z nich.

— Pinokio! To się źle skończy.

— A kuku!

— Zobaczysz, że oberwiesz!

— A kuku!

— Wrócisz do domu z połamanym nosem!

— A kuku!

— Teraz ja ci dam kuku! – krzyknął najzuchwalszy z tych smarkaczy. – Masz tu zaliczkę i schowaj ją sobie na kolację.

I mówiąc to, grzmotnął go pięścią w głowę.

Pajac, jak to było do przewidzenia, odparował takim samym ciosem i w jednej chwili bitka stała się ogólna i zaciekła.

Pinokio, aczkolwiek sam, bronił się jak bohater. Tak zręcznie kopał tymi swoimi nogami z bardzo twardego drzewa, że trzymał wrogów w należytej odległości. Gdzie tylko mogły kogo dosięgnąć i dotknąć jego nogi, tam zawsze pozostawał siniec na pamiątkę. Wtedy chłopcy, rozżłoszczeni, że nie mogą zmierzyć się z nim wręcz, uciekli się do pomocy pocisków; w mig rozpakowawszy tornistry zaczęli go obrzucać: „Elementarzami”, „Gramatykami”, „Rachunkami”, „Czytankami”, „Opowiadkami”, „Bajkami” i innymi książkami szkolnymi, ale pajac, który był sprytny i miał bystre oko, zawsze na czas się uchylał, tak że wszystkie tomy przelatowały mu nad głową i wpadały do morza. Wyobraźcie sobie ryby! Ryby, myśląc, że te książki to coś do jedzenia, wypływały chmarami na powierzchnię wody, ale skosztowawszy jakiejś stronicy czy karty tytułowej, wypływały ją natychmiast, krzywiąc się, jak gdyby chciały powiedzieć: „To nie dla nas, jesteśmy przyzwyczajone odżywiać się nieco lepiej!”

Tymczasem bitwa stawała się coraz bardziej zacięta, gdy nagle ogromny Rak morski, który wyszedł z wody i sunął powoli po piasku, zawołał głosikiem zakatarzonego puzonu:

— Przestańcie, swawolniki! Te bitki i branie się za czuby rzadko się dobrze kończą. Zawsze się zdarza jakieś nieszczęście!

Biedny Raku! To tak, jakbyś gadał na wiatr. A ten łotrzyk Pinokio odwrócił się i, spojrzawszy na niego szyderczo, rzekł niegrzecznie:

— Uspokój się, przebrzydły Raku! Połknij raczej ze dwie pastylki z porostów wodnych, żeby się wyleczyć z tego kataru. Idź do łóżka i weź na poty!...

Tymczasem chłopcy, którzy już wyrzucili wszystkie swoje książki, dostrzegli opodal węzełek z książkami pajaca i w okamgnieniu porwali go. Wśród tych książek znajdował się tom oprawny w grubą tekturę, z grzbietem i rogami pergaminowymi. Był to „Traktat o arytmetyce”. Wyobrażacie sobie chyba, ile on ważył! Jeden z łobuzów chwycił ten tom i, wycelowawszy w głowę Pinokia, rzucił nim z całej siły, ale zamiast trafić w pajaca, trafił w głowę jednego z kolegów, który zbladł jak płótno i tylko szepnął:

— Mamo, ratuj mnie... bo umieram!...

Potem padł jak długi na piasek wybrzeża.

Na ten widok przerażeni chłopcy dalejże w nogi, tak że za parę minut nie było po nich śladu. Ale Pinokio pozostał i chociaż sam był na pół żywy z bólu i trwogi, niemniej pobiegł, żeby zmoczyć chusteczkę w wodzie morskiej, i zaczął zwilżać skronie biednego kolegi. Wśród tego, płacząc rzewnie i lamentując, wzywał go po imieniu i tak do niego przemawiał:

— Geniu!... Mój biedny Geniu!... Otwórz oczy i spójrz na mnie! Czemu mi nie odpowiadasz? To nie ja, zapewniam cię, to nie ja tak cię skrzywdziłem! Wierzaj mi, to nie ja!... Geniu, otwórz oczy!... Jeżeli ich nie otworzysz, to i ja umrę przez ciebie!... O mój Boże! Jak ja teraz wrócę do domu? Z jakim czołem stanę teraz przed moją dobrą mamą? Co się ze mną stanie?... Dokąd ucieknę?... Gdzie się ukryję? Och! Byłoby lepiej, sto razy lepiej, gdybym był poszedł do szkoły! Dlaczego posłuchałem kolegów, którzy są moją zgubą?... A pan nauczyciel ostrzegał mnie! A mamusia powtarzała mi: „Strzeż się złych towarzyszy!” Ale ja jestem uparty... krnąbrny... Słucham, co się do mnie mówi, a potem robię tak, ja mi się podoba! A w końcu muszę odpokutować za wszystko... I tak, odkąd jestem na świecie, nie zaznałem chwili szczęścia. Ó Boże! Co się ze mną stanie, co się ze mną stanie, co się ze mną stanie?...

I dalej płakał i beczał, i tłukł się w głowę, i wzywał po imieniu biednego Genia, kiedy naraz usłyszał przytłumiony odgłos zbliżających się kroków. Odwrócił się: byli to dwaj karabinierzy.

— Co ty robisz leżąc na ziemi? — zapytali Pinokia.

— Czuwam nad moim kolegą.

— Czy zasłabł?

— Zdaje się, że tak!... ,

— Gdzie tam zasłabł! — powiedział jeden z karabinierów pochylając się nad Eugeniuszem i przyglądając mu się z bliska. — Ten chłopak jest raniony w skroń; kto go zranił?

— Nie ja — rzekł Pinokio, któremu dech zaparło z przerażenia.

— Jeżeli nie ty, to kto w takim razie?

— Ja nie — powtórzył Pinokio.

— A czym go zraniono?

— Tą książką — i pajacyk podniósł z ziemi „Traktat o arytmetyce” w pergaminowej oprawie i pokazał go karabinierowi.

— A czyja to książka?

— Moja.

— To wystarczy, nie potrzeba nic więcej. Wstań natychmiast i chodź z nami.

— Ale ja...

— Ruszaj z nami!

— Ale ja jestem niewinny!

— Marsz!

Przed odejściem wezwali karabinierzy kilku rybaków, którzy właśnie płynęli barką niedaleko brzegu, i nakazali im:

— Powierzamy wam tego zranionego w głowę chłopczyka. Weźcie go do domu i opiekujcie się nim. Jutro wrócimy, żeby go zobaczyć. — Po czym, zwracając się do Pinokia i wzięwszy go między siebie, zakomenderowali po żołniersku: — Naprzód! Marsz! Jeżeli nie, tym gorzej dla ciebie!

Nie czekając, aż mu to powtórzą, pajac wszedł na dróżkę, która prowadziła do miasteczka. Nie wiedział, biedaczysko, co się z nim dzieje. Zdawało mu się, że to sen, i to jaki brzydki sen! Odchodził od zmysłów. Widział wszystko podwójnie, nogi mu drżały, a język przykleił się do podniebienia, tak że nie mógł wydusić ani słowa. A ponadto, wśród tego ogłupienia i oszołomienia, przeszywał mu serce ostry kolec: myśl, że prowadzony przez karabinierów będzie musiał przejść pod oknami swej dobrej Wróżki. Wolałby raczej umrzeć.

Kiedy już mieli wejść do miasta, silny podmuch wiatru zerwał z głowy czapkę Pinokia i uniósł ją o jakieś dziesięć kroków dalej.

— Czy panowie pozwolą mi pójść po czapkę? — zapytał pajac karabinierów.

— Idź, ale zaraz wracaj.

Pajac poszedł, podniósł czapkę... ale, zamiast włożyć ją na głowę, chwycił ją w zęby, a potem puścił się pędem w kierunku morza.

Leciał jak strzała.

Widząc, że trudno go będzie dogonić, karabinierzy poszczuli na niego dużego buldoga, który zdobywał pierwsze nagrody na wszystkich wyścigach psów. Pinokio pędził, ale buldog pędził jeszcze szybciej, toteż ludzie zaczęli wyglądać przez okna i gromadzić się tłumnie na ulicach, żeby zobaczyć, jak się skończy ten wściekły wyścig. Ale nie mogli zadowolić swej ciekawości, ponieważ buldog i Pinokio wzbijali po drodze taką chmurę kurzu, że po kilku minutach nic już nie było widać.

XXVIII

Pinokio jest w niebezpieczeństwie — ma zostać usmażony na patelni jako ryba

Podczas tego rozpaczliwego biegu Pinokio przeżył straszną chwilę, kiedy zrozumiał, że jest zgubiony; trzeba bowiem wiedzieć, że Alidor (takie było imię buldoga), pędząc i pędząc jak wściekły, już go nieomal dopadał. Wystarczy powiedzieć, że pajac słyszał tuż za sobą ciężkie sapanie, a nawet czuł palący oddech zwierzęcia.

Na szczęście wybrzeże było tuż, a o parę kroków dalej widać było morze. Dobiegłszy do brzegu, pajac dał ślicznego susa i skoczył w wodę jak żaba. Alidor zaś chciał się zatrzymać, ale w zapale pościgu i on buchnął do wody. Niestety, nie umiał pływać i dlatego, chcąc utrzymać się na powierzchni, zaczął wywijać łapami, ale im więcej nimi wywijał, tym głębiej szedł z głową pod wodę.

Kiedy Pinokio znów wychylił głowę, biedny Alidor wywracał przerażonymi oczami i szczerząc wołał:

— Toną! Toną!

— Zdychaj! — odpowiedział z daleka Pinokio, który czuł się już bezpieczny.

— Pomóż mi, mój kochany Pinokio!... Ocal mi życie!..

Słyszając te rozdzierające wołania, pajac, który w gruncie rzeczy miał bardzo dobre serce, ulitował się i, zwracając się do psa, rzekł:

— A jeżeli cię wyratuję, czy przyrzekasz, że dasz mi już spokój, że nie będziesz mnie więcej ścigał?

— Przyrzekam! Przyrzekam! Zmiłuj się i pospiesz, bo jeżeli będziesz zwlekał choćby pół minuty, zginę niechybnie.

Pinokio zawahał się chwilę, ale potem przypomniawszy sobie słowa tatusia, który nieraz mawiał, że dobry uczynek nigdy nie może przynieść szkody, podpłynął do Alidora i chwyciwszy go oburącz za ogon, zaciągnął zdrowego i całego na suchy piasek wybrzeża. Biedny pies nie mógł się utrzymać na nogach. Niechcący napił się tyle słonej wody, że go wyduło jak balon.

Ale nie chcąc zanadto mu zaufać, pajac z ostrożności znowu rzucił się w morze i, oddalwszy się od brzegu, krzyknął do wyratowanego przyjaciela:

— Żegnaj, Alidorze, dobrej drogi i kłaniaj się wszystkim w domu!

— Żegnaj, mój drogi Pinokio! — odrzekł pies. — Dzięki stokrotne, żeś mnie ocalił od śmierci! Oddałeś mi wielką przysługę, a na tym świecie za wszystko trzeba płacić. Pomówimy o tym przy najbliższej sposobności.

Pinokio płynął trzymając się ciągle blisko brzegu. W końcu wydało mu się, iż dobił do spokojnego miejsca, i spojrzawszy na wybrzeże zauważył wśród skał jakąś grootę, z której unosił się długi pióropusz dymu.

— W tej grocie — powiedział do siebie — na pewno jest ogień. Tym lepiej! Pójdę osuszyć się i ogrzać. A potem?... Potem, co będzie, to będzie.

Powziąwszy to postanowienie, zbliżył się do skały, ale kiedy już chciał się na nią wdrapać, uczył pod wodą coś, co się wznosiło, wznosiło, wznosiło i porywało go w górę. Zrazu usiłował umknąć, ale już było za późno, gdyż ku swemu ogromnemu zdumieniu znalazł się zamknięty w olbrzymiej sieci pełnej ryb wszelakiego kształtu i wielkości, które trzepotały ogonami i miotały się jak oszalałe.

W tej samej chwili ujrzał wychodzącego z grotty rybaka tak bardzo, tak okropnie brzydkiego, że wydawał się raczej jakimś potworem morskim. Zamiast włosów miał na głowie gęsty krzak zielonej trawy; skóra jego była zielona, oczy zielone, zielona była również bardzo długa broda, sięgająca aż po pas. Podobny był do wielkiej jaszczurki stojącej na tylnych nogach.

Wyciągnąwszy sieć z morza, rybak zawołał z radością:

— Dzięki Bogu! Dzisiaj także będę mógł objeść się rybami!

„Całe szczęście, że nie jestem rybą!” — pomyślał sobie Pinokio nabierając trochę odwagi.

Tymczasem tę sieć pełną ryb zaniósł rybak do ciemnej i zadymionej grotty, gdzie pośrodku, na wielkiej patelni, smażyła się oliwa, która cuchnęła jak upalony knot świecy — aż zapierało oddech.

— A teraz zobaczymy, jakie to ryby ułowiliśmy! - rzekł zielony rybak i wkładając w sieć łapsko tak olbrzymie jak łopata do pieca piekarskiego, wyciągnął garść barwen. — Dobre te barweny! — rzekł oglądając je i wachając z zadowoleniem. Powąchawszy, rzucił je do szaflika, w którym nie było wody.

Potem kilkakrotnie powtórzył tę samą czynność, a w miarę wydobywania innych ryb, czuł, jak mu śliska napływa do ust, toteż mówił nie posiadając się z radości:

— Niezłe te dorsze!...

— Pyszne te wielgopławy!

— Smakowite te flądry!

— Wyborne te okonie!...

— Ładniutkie te sardele!...

Jak się domyślicie, dorsze, wielgopławy, flądry, okonie i sardele wpadły wszystkie w nieładzie do szaflika, żeby dotrzymać towarzystwa barwenom.

Ostatnim, który pozostał w sieci, był Pinokio.

Wyciągnąwszy go, rybak wytrzeszczył ze zdumienia swoje zielone ślepia i nieomal wystraszony zawołał:

— Cóż to za dziwna ryba?! Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek jadł coś podobnego!

I znowu zaczął mu się przyglądać uważnie, a obejrawszy go ze wszystkich stron, zawyrokował:

— Rozumiem, to musi być rak morski. Wówczas Pinokio, upokorzony, że go biorą za raka, zawołał z oburzeniem:

— Co za rak, jaki tam rak?! Cóż to za traktowanie! Trzeba panu wiedzieć, że jestem pajacem.

— Pajacem? — odparł rybak. — Prawdę mówiąc, ryba-pajac to dla mnie coś nowego! Tym lepiej! Zjem jeszcze chętniej.

— Zjeść mnie? Czyż pan nie rozumie, że nie jestem rybą? Nie słyszy pan, że mówię i rozumiuję tak jak pan?

— To prawda — odpowiedział rybak — ale skoro, jak widzę, jesteś rybą, która ma szczęście mówić i rozumować tak jak ja, przeto chcę ci okazać należyte względy.

— Jakież to względy?

— Na znak przyjaźni i szczególnego poważania pozostawiam ci wolny wybór co do tego, w jaki sposób chcesz być przyrządzony. Pragniesz być usmażony na patelni czy też wolisz być ugotowany w rynce i zaprawiony sosem pomidorowym?

— Prawdę mówiąc — odparł Pinokio — jeżeli mam wybierać, to wolałbym raczej, żeby mnie puszczono na wolność i żebym mógł wrócić do domu.

— Żartujesz chyba! Zdaje ci się, że mógłbym nie wykorzystać sposobności skosztowania tak rzadkiej ryby! Niecodziennie zdarza się wyłowić z tych wód rybę-pajaca. Zostaw to mnie: usmażę cię na patelni razem z wszystkimi innymi rybami i będziesz zadowolony. Być usmażonym w towarzystwie to zawsze pewna pociecha.

Słyszając to przemówienie, nieszczęsny Pinokio zaczął beczeć, krzyczeć, błagać o litość i szlochając mówił:

— O ileż byłoby lepiej, gdybym był poszedł do szkoły!... Usłuchałem kolegów i teraz przychodzi kara!... A! A!... A!...

A ponieważ skręcał się jak węgorz i czynił niesłychane wysiłki, żeby się wysliznąć ze szponów zielonego rybaka, ten pochwycił łyko z sitowia i, związawszy pajacowi ręce i nogi, tak jak się wiąże kiełbasę, rzucił go na dno szaflika, do innych ryb.

Potem, wyciągnąwszy drewniany kubek pełen mąki, zaczął wszystkie ryby obsypywać mąką i kolejno rzucać na patelnię, żeby się smażyły. Najpierw zatańczyły we wrzącej oliwie biedne dorsze, potem okonie, potem wielgopławy, fladry i sardele, aż wreszcie przyszła kolej i na Pinokia. Widząc, że śmierć jest blisko (i to jaka okropna śmierć), pajac tak bardzo dygotał ze strachu, że mu zabrakło głosu i tchu, aby prosić o zmiłowanie. Nieboraczek błagał tylko oczyma! Ale zielony rybak, nie zważając wcale na niego, szybko obtoczył go z pięć czy sześć razy w mące i tak go dokładnie umączył, że pajac wyglądał jak figurka z gipsu.

Potem chwycił go za głowę i...

XXIX

**Pinokio wraca do Wróżki, która przyrzeka mu,
że nazajutrz nie będzie już pajacem, tylko zmieni się w chłopczyka.
Wielkie śniadanie z białą kawą dla uczczenia tego zdarzenia**

W chwili kiedy rybak już miał rzucić Pinokia na patelnię, wpadł do groty wielki pies, zwabiony ostrym i smakowitym zapachem smażonych ryb.

— Idź precz! — krzyknął rybak grożąc mu i ciągle trzymając w ręce obsypanego mąką pajaca.

Ale biedny pies był strasznie wygłodzony i skomlać, i merdając ogonem, zdawał się mówić:

„Daj mi kawałeczek ryby, to nie będę się więcej naprzykrzał”.

— Precz stąd, mówię ci! — powtórzył rybak i podniósł nogę, żeby mu dać kopniaka.

Ale pies, który naprawdę był głodny, nie pozwolił żartować z siebie i zawarczał pokazując rybakowi swoje straszliwe kły. W tejże chwili rozległ się w grocie słaby, stabiutki głosik, który mówił:

— Ocal mnie, Alidorze! Jeżeli mnie nie ocalisz, usmażą mnie!...

Pies natychmiast poznał głos Pinokia i ze zdziwieniem zauważył, że ten głos wychodził z omączonej kukielki, którą rybak trzymał w ręce.

Cóż więc zrobił? Rzucił się potężnym skokiem, chwycił omączonego pajaca i trzymając go delikatnie w zębach, wypadł z grotu z szybkością błyskawicy.

Rybak, wściekły, że mu porwano rybę, na którą miał taki apetyt, usiłował dogonić psa, ale po kilku krokach rozkaszał się i musiał zawrócić z drogi.

Tymczasem Alidor, odszukawszy dróżkę, która prowadziła do miasteczka, zatrzymał się i ostrożnie położył na ziemi swego przyjaciela Pinokia.

— Jakże ci mam dziękować? — rzekł pajac.

— Nie potrzeba — odparł pies — tyś mnie ocalił, a ja ci się odwdzięczyłem. Wiadomo, na tym świecie wszyscy powinni sobie wzajemnie pomagać.

— Ale jak to się stało, żeś wpadł do tej groty?

— Leżałem na brzegu na pół żywy, kiedy z podmuchem wiatru doleciał mnie zapaszek smażonych ryb. Ten zapaszek podniecił mój apetyt, więc pognałem tam, skąd dochodził. Ale co by było, gdybym się był spóźnił o minutę?!

— Nie mów! — krzyknął Pinokio, który jeszcze dygotał ze strachu. — Nie wspominaj mi o tym! Gdybyś przybył o minutę później, byłbym już usmażony, zjedzony i strawiony. Brz!... Na samą myśl dreszcz mnie przechodzi!...

Alidor, śmiejąc się, wyciągnął prawą łapę, którą pajac uścisnął serdecznie na znak wielkiej, przyjaźni; potem rozstali się. Pies zawrócił do domu, a kiedy Pinokio został sam, podszedł do pobliskiej chatki i zapytał staruszka, który przed drzwiami wygrzewał się na słońcu:

— Zaczny człowieku, czy nie wiecie czegoś o biednym chłopcu imieniem Genio, który został ranny w głowę?

— Kilku rybaków przyniosło go tu do tej chatki i...

— I umarł?! — przerwał Pinokio z wielkim bólem.

— Nie, żyje i już wrócił do domu.

— Doprawdy?! Doprawdy?! — zawołał pajac skacząc z radości. — A więc rana nie była ciężka?...

— Ale mogła być ciężka, a nawet śmiertelna — odpowiedział staruszek — ponieważ dostał w głowę wielką książką oprawną w grubą tekturę.

— A któż rzucił w niego tą książką?

— Jeden z kolegów szkolnych, niejaki Pinokio...

— A któż to jest ten Pinokio? — zapytał pajac udając, że nie wie o niczym.

— Mówią, że to łobuz, włóczęga, prawdziwy zawadiaka...

— Oszczerstwo! To są wszystko oszczerstwa!

— Znasz tego Pinokia?

— Z widzenia! — odrzekł pajac.

— A ty co o nim sądzisz? — zapytał staruszek.

— Zdaje mi się, że to dobry chłopak, pełen zapału do nauki, posłuszny, kochający ojca i rodzinę...

Kiedy tak najbezcelniej w świecie wygłaszał wszystkie te kłamstwa, zauważył, że nos wydłużył mu się o parę cali. Wówczas zaczął krzyczeć w wielkim strachu:

— Nie wiercie, zacny człowieku, w to wszystko, co wam tu powiedziałem, ponieważ znam doskonale Pinokia, i mogę was zapewnić, że to naprawdę łązęga, nieposłuszny i leniwy nicpoń, który zamiast chodzić do szkoły, włóczy się tylko z kolegami!...

Gdy tylko wypowiedział te słowa, nos jego skrócił się i powrócił do poprzedniej wielkości.

— A czemu ty jesteś taki ubielony? — zapytał nagle staruszek.

— Zaraz wam powiem... Otarłem się przypadkiem o świeżo pobielony mur — odpowiedział pajac wstydząc się wyznać, że go obsypano mąką jak rybę, aby go potem usmażyć na patelni.

— A gdzie masz surducik, spodenki i czapeczkę?

— Spotkałem złodziei, którzy mi wszystko ukradli. Słuchajcie, dobry staruszkule, nie moglibyście przypadkiem dać mi jakiegoś ubrania, żebym mógł wrócić do domu?

— Mój chłopcze, jeżeli chodzi o ubranie, to mam tylko ten mały woreczek na łubin. Jeżeli chcesz, weź go sobie.

Pinokio nie dał sobie powtarzać tego dwa razy, tylko natychmiast wziął woreczek, który był pusty, i wyciąwszy nożyczkami jeden mały otwór u spodu i dwa po bokach wdział go jak koszulę. I w tym przewiewnym ubraniu podążył do miasta. Ale nie czuł się wcale spokojny, tak że idąc robił jeden krok naprzód, a jeden w tył, przy czym mówił do siebie:

— Jakże ja się pokażę mojej dobrej Wróżce? Co ona powie, kiedy mnie ujrzy?... Czy zechce mi przebaczyć ten mój drugi wybryk? Założą się, że mi nie przebaczy! Och! Na pewno mi nie przebaczy... I dobrze mi tak, gdyż jestem gałgan, który zawsze przyrzeka, że się poprawi, i nigdy nie dotrzymuje przyrzeczenia.

Kiedy przybył do miasta, była już ciemna noc, a ponieważ lało jak z cebra, poszedł prościutko do domu Wróżki, postanowiwszy, że zapuka do bramy i każe sobie otworzyć. Ale kiedy stanął przed bramą, zabrakło mu odwagi i zamiast zapukać, oddalił się biegiem o jakieś dwadzieścia kroków. Podszedł do bramy po raz drugi i nie zdecydował się, podszedł po raz trzeci i znowu nic; za czwartym razem ujął z drżeniem żelazną kołatkę i lekko zapukał.

Czeka, czeka, nareszcie w pół godziny później otworzyło się okno na najwyższym piętrze (dom miał cztery piętra) i w oknie tym ukazał się ogromny ślimak z płonąca świeczką na głowie. Ślimak odezwał się:

— Któż to puka o tej porze?

— Czy Wróżka w domu? — zapytał pajac.

— Wróżka śpi i nie życzy sobie, żeby ją budzono. Kto jesteś?

— To ja!

— Co za ja?

— Pinokio.

— Jaki Pinokio?

— Pajac, który tu mieszka u Wróżki.

— Ach! Rozumiem — rzekł Ślimak. — Poczekaj na mnie, zaraz zejść i otworzę ci.

— Zlituj się, spiesz się, bo umieram z zimna.

— Mój chłopcze, jestem ślimakiem, a ślimaki nigdy się nie spieszą.

Tymczasem minęła godzina, minęły dwie godziny, a brama się nie otwierała, toteż Pinokio, drżący z zimna, ze strachu i przemoczony do nitki, zebrał się na odwagę i po raz drugi zapukał nieco silniej.

Na to drugie pukanie otworzyło się okno na niższym piętrze, a w nim ukazał się ten sam Ślimak.

— Ślimaczku piękny — zawołał z ulicy Pinokio — czekam już od dwóch godzin! A dwie godziny w taką straszną noc to więcej niż dwa lata. Zmiłuj się i pospiesz się!

— Mój chłopcze — odparł z okna spokojny i flegmatyczny mięczak — mój chłopcze, jestem ślimakiem, a ślimaki nigdy się nie spieszą.

I okno znowu się zamknęło. „Niebawem wybiła północ, potem godzina pierwsza, potem druga, a brama była ciągle zamknięta. Wówczas Pinokio, straciwszy cierpliwość, chwycił ze

złością żelazną kołatkę i tak silnie zaczął walić w bramę, że w całym domu rozległ się ogłuszający łomot. Ale żelazna kołatka zmieniła się nagle w żywego węgorza, który wysliznąwszy mu się z ręki, znikł w kałuży pośrodku ulicy.

— Ach, więc to tak?! — krzyknął Pinokio coraz bardziej zaślepiiony złością. — Wobec tego, że kołatka zniknęła, zaczęń kopać w bramę.

I cofnąwszy się trochę, wyrzwał tęgiego kopniaka w bramę domu. Uderzenie było tak silne, że stopa utknęła w drzewie aż do połowy, i na nic się nie zdały wszelkie wysiłki pajaca, żeby ją wyciągnąć z powrotem, gdyż stopa tkwiła w drzwiach mocno jak zanitowany gwóźdź.

Wyobraźcie sobie biednego Pinokia! Musiał spędzić resztę nocy z jedną nogą na ziemi, a drugą w powietrzu.

O świcie brama nareszcie otworzyła się. Poczciwy Ślimak na zejście z czwartego piętra do bramy domu zużył zaledwie dziewięć godzin. Można sobie wyobrazić, jak się spocił!

— Co oznacza ta twoja noga tkwiąca w drzwiach? — zapytał pajaca śmiejąc się.

— Niestety przypadek. Zrób coś, miły Ślimaczku, żeby mnie uwolnić od tych mąk.

— Mój chłopcze, tu trzeba cieśli, a ja się nie znam na ciesielce.

— Poproś Wróżkę w moim imieniu!...

— Wróżka śpi i nie można jej budzić.

— Więc cóż ja mam robić, przygwożdżony przez cały dzień do tych drzwi?

— Baw się liczeniem mrówek, które krążą po ulicy.

— Przynieś mi przynajmniej coś do zjedzenia, bo czuję, że umieram z wyczerpania.

— Zaraz! — odparł Ślimak.

Istotnie, po upływie trzech i pół godziny wrócił niosąc na głowie srebrną tacę. Na tacy był chleb, kurczę z rożna i cztery dojrzałe morele.

— Proszę, oto śniadanie, które przysyła ci Wróżka — rzekł Ślimak.

Na widok tych smakowitych rzeczy pajac uczuł się bardzo pokrzepiony. Ale jakież było jego rozczarowanie, kiedy zabrawszy się do jedzenia spostrzegł, że chleb był z gipsu, kurczę z tektury, a cztery morele z alabastru, pomalowanego na naturalne kolory.

Pinokio chciał płakać, chciał rozpaczać, chciał zrzucić tacę i wszystko, co na niej było, tymczasem czy to z wielkiego zmartwienia, czy też z powodu pustki w żołądku, dość, że padł zemdlony.

Kiedy wrócił do przytomności, leżał na kanapie, a przy nim była Wróżka.

— Nawet i tym razem przebaczam — rzekła Wróżka — ale biada ci, gdybyś znowu pozwolił sobie na podobny wybryk!...

Pinokio obiecał i przysiągł, że będzie się uczył i że zawsze będzie się dobrze sprawował.

I dotrzymał słowa do końca roku. Przy egzaminach przed wakacjami dostał nagrodę, jako najpilniejszy uczeń w całej szkole, a o jego obyczajach wyrażano się tak pochlebnie i z takim uznaniem, że Wróżka, bardzo uradowana, powiedziała mu:

— Jutro spełni się nareszcie twoje pragnienie.

— To znaczy?...

— Jutro przestaniesz być drewnianym pajacem i staniesz się grzecznym chłopczykiem.

Kto nie widział radości Pinokia na wieść o tym, na co czekał z takim utęsknieniem, ten nigdy nie potrafi sobie tej wyobrazić. Wszyscy przyjaciele i koledzy szkolni mieli być zaproszeni na dzień następny na wielkie śniadanie w domu Wróżki, aby wspólnie uczcić to niezwykle zdarzenie. Wróżka kazała przygotować dwieście filiżanek kawy i czterysta bułeczek nasmarowanych masłem z jednej i z drugiej strony. Ten dzień zapowiadał się pięknie i wesoło, ale...

Na nieszczęście, w życiu pajaców zawsze się zdarza jakieś „ale”, które wszystko psuje.

XXX

Pinokio, zamiast stać się chłopcem, ucieka potajemnie ze swoim przyjacielem Knotem do Krainy Zabawek

Oczywiście Pinokio od razu poprosił Wróżkę o pozwolenie pójścia na miasto, żeby pozapraszać wszystkich przyjaciół, a Wróżka mu powiedziała:

— Idź i zaproś kolegów na jutro na śniadanie, ale pamiętaj, żebyś wrócił, zanim noc zapadnie.

— Przyrzekam, że za godzinę będę już z powrotem — odparł pajac.

— Uważaj, Pinokio! Chłopcy łatwo przyrzekają, ale trudniej im przychodzi dotrzymać przyrzeczeń.

— Ale ja nie jestem taki jak inni; ja jeżeli coś przyrzekam, to dotrzymuję słowa.

— Zobaczymy. Gdybyś przypadkiem był nieposłuszny, tym gorzej dla ciebie.

— Dlaczego?

— Dlatego, że chłopcy, którzy nie słuchają rad tych, co mają więcej rozumu niż oni, zawsze narażają się na jakieś przykrości.

— Doświadczyłem tego! — rzekł Pinokio. — Ale teraz już mi się to nie zdarzy!

— Zobaczymy, czy to prawda, co mówisz.

Pajac nic już nie odpowiedział, tylko pożegnał dobrą Wróżkę i wybiegł na ulicę tańcząc i śpiewając. Po godzinie wszyscy przyjaciele byli już zaproszeni. Jedni przyjęli zaproszenie z wielką radością, inni dali się z początku trochę prosić, ale kiedy dowiedzieli się, że bułeczki do kawy będą posmarowane masłem nie tylko z jednej, ale i z drugiej strony, zgodzili się ostatecznie, mówiąc:

— Przyjdziemy, żeby ci zrobić przyjemność.

Trzeba wam wiedzieć, że Pinokio wśród swoich przyjaciół miał jednego szczególnie ulubionego i drogiego kolegę imieniem Romeo, którego jednak wszyscy przezywali „Knotem” z powodu chudej i suchej figurki, zupełnie podobnej do knota w lampce nocnej.

Knot był największym próżniakiem i urwisem w całej szkole, ale Pinokio strasznie go lubił. Toteż zaraz pobiegł do niego do domu, żeby go zaprosić na śniadanie, ale go nie zastał; wrócił drugi i trzeci raz, a Knota ani śladu.

Gdzie by go tu odnaleźć? Szuka tu, szuka tam, nareszcie znalazł go ukrytego pod dachem domu jakiegoś wieśniaka.

— Co tu robisz? — zapytał Pinokio podchodząc do niego.

— Czekam, aż wybije północ, bo wyjeżdżam...

— Dokąd?

— Daleko, daleko, daleko!

— A ja aż trzy razy byłem u ciebie w domu!...

— A czego chciałeś ode mnie?

— Nie słyszałeś o wielkim wydarzeniu? Nie wiesz, jakie mnie spotyka szczęście?

— Jakie?

— Jutro przestaję być pajacem i stanę się chłopcem, takim jak ty, takim jak wszyscy inni.

— Niech ci wyjdzie na zdrowie!

— A zatem proszę cię na śniadanie, jutro u mnie w domu.

— Przecież mówię ci, że dziś wieczorem wyjeżdżam.

— O której godzinie?

— O północy.

— A dokąd jedziesz?

— Jadę do pewnej krainy... która jest najpiękniejsza krainą na tym świecie, istnym rajem próżniaków.

— A jak się nazywa ten kraj?

— Kraina Zabawek. Może pojedziesz ze mną?

— Ja? O, nie!

— To źle, mój Pinokio! Jeżeli nie pojedziesz, będziesz żałował, wierzaj mi. Gdzie znajdziesz kraj bardziej odpowiedni dla chłopców takich jak my? Tam nie ma szkół, tam nie ma nauczycieli, tam nie ma książek. W tym błogosławionym kraju nikt nie musi się uczyć. W czwartki nie ma nauki, a cały tydzień składa się z sześciu czwartków i jednej niedzieli. Wyobraź sobie, że zimowe wakacje zaczynają się tam pierwszego stycznia, a kończą się ostatniego grudnia. Oto kraj, który mi się naprawdę podoba! Takie powinny być wszystkie kraje cywilizowane!

— A co się robi przez cały dzień w tej Krainie Zabawek?

— Wszyscy bawią się i baraszkuje od rana do wieczora. Wieczorem idzie się spać, a raniem zaczyna się na nowo. Cóż ty o tym sądzisz?

— Hm... — mruknął Pinokio i z lekka potrząsnął głową, jak gdyby chciał powiedzieć: „Ja bym też chętnie zakosztował takiego życia”...

— No, więc pojedziesz ze mną? Tak czy nie? Zdecyduj się.

— Nie, nie — nie i jeszcze raz nie. Skoro już przyrzekłem mojej dobrej Wróżce, że stanę się wzorowym chłopcem, to chcę dotrzymać przyrzeczenia. A wobec tego, że słońce już zaszło, muszę cię zostawić i zmykam. Żegnaj i dobrej drogi!

— Dokąd się tak spieszysz?

— Do domu. Moja dobra Wróżka kazała mi wrócić, zanim noc zapadnie.

— Zaczekaj jeszcze ze dwie minuty.

— Spóźnię się.

— Tylko dwie minutki.

— A jeżeli Wróżka wykrzyczy mnie?

— To niech sobie krzyczy. Gdy się zmęczy, to przestanie — tak odpowiedział ów hultaj Knot.

— A jakże jedziesz? Sam czy w towarzystwie?

— Sam? Będzie nas więcej niż stu!

— I wybieracie się pieszo?

— O północy przyjedzie tu wóz, który ma nas zabrać i zawieźć aż do samych granic tego szczęśliwego kraju.

— Co ja bym dał za to, żeby teraz była północ!...

— Dlaczego?

— Żeby was zobaczyć, jak pojedziecie wszyscy razem.

— Zostań jeszcze chwilkę, a zobaczysz nas.

— Nie, nie, muszę wracać do domu.

— Zaczekaj jeszcze dwie minuty.

— Już i tak za długo się ociągałem. Wróżka, która jest dla mnie jak matka, będzie niespokojna o mnie.

— Biedna Wróżka! Może się boi, że cię zjedzą nietoperze?

— A więc — odparł Pinokio — jesteś naprawdę pewny, że w tej krainie nie ma wcale szkół?

— Ani śladu.

— I nie ma nauczycieli?

— Ani jednego.

— I nie ma obowiązku uczenia się?

— Nie ma! Jako żywo nie ma!

— Cóż to za piękny kraj! — rzekł Pinokio czując, jak mu ślinka idzie do ust.

— Cóż za piękny kraj! Nigdy tam nie byłem, ale wyobrażam go sobie!...

— Dlaczego nie jedziesz z nami?

— Na próżno mnie kusisz! Przynależem mojej dobrej Wróżce, że będę przykładnym chłopcem, i nie chcę złamać słowa.

— A więc żegnaj i pozdrów ode mnie gimnazja!... A także szkoły licealne, jeżeli je zobaczysz po drodze.

— Żegnaj, Knocie, i szczęśliwej drogi! Baw się i wspomnij czasami o przyjaciółach.

To powiedziawszy pajac odszedł o dwa kroki, ale potem zatrzymał się i zapytał przyjaciela:

— Ale czy naprawdę jesteś pewny, że w owym kraju wszystkie tygodnie składają się z sześciu czwartków i z jednej niedzieli?

— Najpewniejszy.

— Ale czy wiesz z całą pewnością, że wakacje zaczynają się pierwszego stycznia, a kończą ostatniego grudnia?

— Z całą pewnością.

— Co za piękny kraj! — powtórzył Pinokio splunawszy z nadmiaru zachwytu. Potem dodał szybko stanowczym tonem: — A więc żegnaj naprawdę i szczęśliwej drogi!

— Żegnaj!

— Kiedy odjeżdżacie?

— Za dwie godziny.

— Szkoda! Gdyby tak za godzinę, to może mógłbym poczekać.

— A Wróżka?

— I tak już się spóźniłem!... A czy wrócę do domu o godzinę wcześniej, czy później, to wszystko jedno.

— Biedny Pinokio! A jeżeli Wróżka wykrzyczy cię?

— Trudno! Niech sobie krzyczy. Gdy się zmęczy, to się uspokoi.

Była już ciemna noc, kiedy nagle ujrzeli w oddali migotanie jakiegoś światełka... i usłyszeli dźwięk dzwoneczków i trąbek, ale tak delikatny i stłumiony jak bzykanie komara.

— Jest! — krzyknął Knot zrywając się na równe nogi.

— Kto taki? — zapytał z cicha Pinokio.

— Wóz, który mnie zabiera. No, więc jedziesz czy nie?

— Ale czy to prawda — zapytał pajac — że w tym kraju chłopcy nie mają obowiązku uczenia się?

— Nie mają, jako żywo nie mają!

— Cóż to za piękny kraj!... Co za piękny kraj... Co za piękny kraj!...

XXXI

Po pięciu miesiącach życia w raju próżniaków Pinokia spotyka bardzo przykra niespodzianka...

Nareszcie wóz zajechał i to zajechał bez najmniejszego hałasu, ponieważ koła jego były owinięte pakułami i szmatami.

Ciągnęło go dwanaście par osiołków jednego wzrostu, ale rozmaitej maści.

Jedne były szare, inne białe. Niektóre białe z czarnym, a jeszcze inne w wielkie pręgi żółte i niebieskie. Ale najdziwniejsze było to, że te osiołki w liczbie dwudziestu czterech — albowiem było ich dwanaście par — nie były kute, tak jak inne zwierzęta pociągowe czy robocze, tylko miały na nogach buciki ludzkie z białej cielęcej skóry.

— A woźnica?

Wyobraźcie sobie człowieka, który był bardziej szeroki niż wysoki, miękki i tłusty jak kulka masła, z twarzą jak pomarańcza, z wiecznie uśmiechniętą buziunią i z łagodnym, pieszczotliwym głosem, takim jak głos kota łaszącego się do pani domu.

Wszyscy chłopcy uwielbiali go od pierwszego wejrzenia i na wyścigi wsiadali do jego wozu, pragnąc się dostać do tego szczęśliwego kraju oznaczonego na mapie kuszącą nazwą Krainy Zabawek.

Istotnie, wóz był już pełen chłopczyków od ośmiu do dwunastu lat, stłoczonych i ściśniętych jak śledzie w beczce. Było im bardzo niewygodnie, byli zduszeni, prawie że nie mogli oddychać, ale żaden nie zawołał „oj”, żaden się nie skarżył. Myśl, że za parę godzin przybędą do krainy, gdzie nie ma ani książek, ani szkół, ani nauczycieli, pokrzepiała ich, napełniała radością i otuchą, tak iż nie czuli ani niewygody, ani zmęczenia, ani głodu, ani pragnienia, ani senności. Gdy tylko wóz się zatrzymał, okrągłutki woźnica zwrócił się do Knota i z wielkimi grymasami, i z wielkim przymilaniem się zapytał go:

— Powiedz mi, śliczny chłopczyku, czy i ty chciałbyś udać się do tego szczęśliwego kraju?

— Pewnie, że chcę.

— Ale ostrzegam cię, kochaneczku, że w wozie nie ma już miejsca. Jak widzisz, jest cały zapchany.

— Trudno — odparł Knot. — Jeżeli nie ma miejsca w wozie, usiądę sobie na dyszlu. — I skoczywszy usiadł okrakiem na dyszlu.

— A ty, moje złotko? — zapytał tłusty człowieczek zwracając się z ugrzecznieniem do Pinokia. — Co zamierzasz uczynić? Jedziesz z nami czy zostajesz?

— Ja zostaję — odrzekł Pinokio. — Chcę wrócić do domu, chcę się uczyć, chcę zasłużyć na pochwałę w szkole, tak jak wszyscy grzeczni chłopcy.

— Niech ci się dobrze powodzi!

— Pinokio! — zawołał Knot. — Posłuchaj mnie i jedź z nami, będziemy się świetnie bawili.

— Nie, nie, nie!

— Jedź z nami, a zobaczysz, jak się będziemy świetnie bawili! — zawołały jakieś głosy z głębi wozu.

— Jedź z nami, a będziemy się świetnie bawili! — wrzasnęło chórem ze sto głosów z głębi wozu.

— A jeżeli pojedę z wami, to co powie moja dobra Wróżka? — rzekł Pinokio, który już zaczął ulegać i wahać się.

— Co się tam będziesz martwił. Pomyśl, że jedziemy do kraju, gdzie będziemy mogli płatać figle od rana do wieczora!

Pinokio nie odpowiedział, tylko westchnął; potem westchnął po raz drugi, a potem po raz trzeci. W końcu odezwał się:

— Zróbcie mi trochę miejsca. Jadę z wami!

— Wszystkie miejsca są zajęte — odparł malutki woźnica — ale żeby ci okazać, jak bardzo jesteś nam miły, mogę ci odstąpić moje własne miejsce na koźle...

— A pan?

— Ja odbędę drogę pieszo.

— Nie, doprawdy, nie mogę na to pozwolić. Wolę raczej wsiąść na grzbiet jednego z tych osiołków! — zawołał Pinokio.

Powiedziawszy to, zbliżył się do osiołka, który siedł w pierwszej parze z prawej strony, i chciał wsiąść na niego, ale osiołek odwróciwszy się żwawo, uderzył go pyskiem w brzuch i przewrócił do góry nogami.

Wyobraźcie sobie głośnie i nieposkromione śmiechy wszystkich chłopców, którzy przypatrywali się tej scenie.

Ale mały woźnica nie śmiał się. Z nadzwyczajną uprzejmością zbliżył się do opornego osiołka i udając, że go całuje, odgryzł mu połowę prawego ucha.

Pinokio zerwał się z ziemi strasznie rozżłoszczony i jednym skokiem znalazł się na grzbiecie biednego zwierzęcia.

Skok był tak wspaniały, że chłopcy zaprzestawszy śmiechów zaczęli krzyczeć: „Niech żyje Pinokio!” i oklaskiwali go bez końca.

Nagle osiołek wierzgnął obiema tylnymi nogami i, wyężywszy wszystkie siły, zrzucił pajaca na kupę żwiru leżącą na gościńcu.

I znowu rozległy się głośne śmiechy, ale woźnica, zamiast się śmiać, poczuł tak wielką miłość do niespokojnego osiołka, że wraz z pocałunkiem odgryzł mu bez ceremonii połowę drugiego ucha. Potem rzekł do pajaca:

— Siadaj znowu jak na konia i nic się nie bój. Ten osiołek trochę grymasił, ale ja mu szepnąłem do ucha parę takich słówek, że złagodnieje i nabierze rozumu.

Pinokio wsiadł na osiołka i wóz ruszył z miejsca, ale w czasie kiedy osiołki galopowały i wóz zaczął się toczyć po kamieniach gościńca, pajacowi wydało się, jak gdyby słyszał stłumiony i lękliwy głos, który mówił:

— Biedny głupcze! Zrobiłeś, co chciałeś, ale pożałujesz tego!

Pinokio, trochę wystraszony, spojrział tu i tam, szukając, skąd mógłby dochodzić ten głos, ale nie ujrzał nikogo; osiołki galopowały, wóz pędził, chłopcy w wozie spali, Knot chrapał na całe gardło, a woźnica siedzący na koźle nucił pod nosem:

*W nocy wszyscy śpią,
A ja nie śpię nigdy...*

Ujechali z pół kilometra, kiedy Pinokio usłyszał znowu ten sam słabiutki głosik:

— Zapamiętaj sobie, głupia pało! Chłopcy, którzy przestają się uczyć, którzy porzucają książki, szkoły i nauczycieli, żeby oddać się wyłącznie zabawom i figlom, muszą źle skończyć!... Wiem to z doświadczenia... Zapewniam cię o tym! Przyjdzie dzień, kiedy i ty będziesz płakał, tak jak ja dzisiaj płaczę... ale wtedy będzie już za późno!...

Usłyszawszy te cichutko wyszeptane słowa Pinokio, przerażony jak nigdy w życiu, zeskoczył z grzbietu swego wierzchowca i ujął go przy pysku. I wyobraźcie sobie, co się działo z pajacem, kiedy spostrzegł, że osiołek płacze... płacze zupełnie jak człowiek!

— Hej, panie woźnico — krzyknął Pinokio do właściciela wozu — wie pan, co się stało?! Ten osiołek płacze.

— Niech sobie płacze. Jak się wypłacze, to przestanie.

— A może pan nauczył go nawet i mówić?

— Nie, sam się nauczył bąkać parę słów, gdy trzy lata spędził w towarzystwie psów tresowanych.

— Biedne zwierzę!...

— Dalej, dalej — rzekł woźnica — nie traćmy czasu na przypatrywanie się łzom osiołka. Siadaj z powrotem i jazda; noc chłodna, a droga daleka.

Pinokio usłuchał bez słowa. Wóz ruszył w dalszą drogę a nazajutrz o świcie dojechał szczęśliwie do Krainy Zabawek.

Ten kraj nie był podobny do żadnego innego kraju na świecie. Zaludniony był wyłącznie przez chłopców. Najstarsi mieli czternaście lat, najmłodszy — zaledwie osiem. Na ulicach radość, hałasy, piski, aż się w głowie mąciło! Wszędzie gromady smarkaczy: ci grają w kręgle, tamci w kostki, jedni bawią się piłką, a inni jeżdżą na welocypedach albo na drewnianych konikach, ci bawią się w ciuciubabkę, a inni urządzają wyścigi, jedni przebrani za pajaców połykają płonące pakuły, a drudzy deklamują, ci śpiewają, a tamci wywracają koziółki; jedni chodzą do góry nogami, a drudzy biegają z kółkiem, ten się przechadza w mundurze generała, w hełmie z liścia i z szablą tekturową, ten się śmieje, ten ryczy, ten woła, ten klaszcze w dłonie, ten gwizdże, ten gdacze jak kura po zniesieniu jajka — słowem, takie piekło, taki zgiełk, taka kocia muzyka, że trzeba by zatkać uszy wata, żeby nie ogłuchnąć.

Na wszystkich placach urządzone były teatrzyki z płótna, od rana do wieczora przepełnione tłumem chłopców, a na murach domów można było wyczytać napisane węglem takie na przykład słowa: „niech rzyją zabafki!” (zamiast „niech żyją zabawki”), „nie chcemy chodzić do szkół” (zamiast „nie chcemy chodzić do szkół”), „precz z rahónkami” (zamiast „precz z rachunkami”) i inne podobne kwiatki. Stanąwszy w mieście, Pinokio, Knot i inni chłopcy, którzy przybyli z okrągłutkim człowieczkiem, od razu rzucili się w wir zabaw i, co nietrudno sobie wyobrazić, w parę minut zaprzyjaźnili się ze wszystkimi. I któż się czuł szczęśliwszy od nich, któż był bardziej zadowolony?

Wśród ciągłych zabaw i najrozmaitszych rozrywek godziny, dni i tygodnie mijały szybko jak błyskawica.

— Och, jakie piękne życie! — powtarzał Pinokio, ilekroć przypadkiem spotykał się z Knotem.

— No i powiedz, czy nie miałem racji? — odpowiadał Knot. — I pomyśleć, że nie chciałeś jechać! Pomyśleć, że wbiłeś sobie do głowy, że musisz wrócić do domu twojej Wróżki, aby tracić czas na naukę! Jeżeli dzisiaj jesteś wolny od nudów szkolnych i od ślęczenia nad książkami, to przyznajesz chyba, że zawdzięczasz to tylko mnie, moim radom i moim staraniom. Jedynie prawdziwi przyjaciele umieją oddawać tak wielkie przysługi.

— To prawda, mój Knocie! Jeżeli dzisiaj jestem naprawdę zadowolony, to tylko twoja zasługa. A wiesz, co mi mówił pan nauczyciel o tobie? Zawsze powtarzał mi tak: „Nie zadawaj się z tym hultajem Knotem, ponieważ Knot to niedobry towarzysz, który może cię sprowadzić na złą drogę!”

— Biedny nauczyciel! — odparł Knot potrząsając głową. — Wiem dobrze, że mnie nie znosił i że mnie zawsze obgadywał, ale jestem wspaniałomyślny i przebaczam mu!

— Prawdziwie szlachetna dusza! — rzekł Pinokio ściskając serdecznie przyjaciela i całując go w czoło.

Już od pięciu miesięcy pędzili wśród ciągłych zabaw i rozrywek to wymarzone życie bez zaglądania do szkoły i bez otwierania książek, kiedy pewnego rana, po przebudzeniu się, spotkała Pinokia bardzo przykra niespodzianka, która wprowadziła go w zły humor.

XXXII

Pajacowi wyrastają ośle uszy, po czym cały zmienia się w prawdziwego ośła i zaczyna ryczeć

Jakaż to była niespodzianka? Zaraz wam to powiem moi drodzy, mali czytelnicy: niespodzianką było to, że Pinokio, obudziwszy się, chciał oczywiście podrapać się w głowę, a drapiąc się zauważył...

Zgadnijcie, co on takiego zauważył?

Zauważył z największym zdziwieniem, że uszy jego wydłużyły się o kilka cali.

Wiecie przecież, że pajac miał od urodzenia małe, maleńkie uszka, takie maleńkie, że trudno je było dostrzec gołym okiem.

Możecie sobie wyobrazić, co się z nim działo, kiedy zauważył, że przez noc uszy jego wydłużyły się tak, że podobne były do dwóch szczotek z ostrego sitowia. Poszedł zaraz na poszukiwanie lustra, ale nie znalazłszy go napełnił wodą miednicę i, przejrzawszy się w niej, ujrzał coś, czego nie chciałby nigdy zobaczyć, a mianowicie swój obraz upiększony wspaniałą parą oślich uszu.

Pomyślcie sami, jak wielki był ból, wstyd i rozpacz biednego Pinokia. Zaczął płakać, krzyczeć, tłuc głową o mur, ale im więcej rozpaczał, tym bardziej uszy jego wydłużały i wydłużały, i stawały się kosmate.

Słyszając te przenikliwe krzyki, wszedł do pokoju piękny Świstak o piętro wyżej mieszkający, który widząc, że pajac odchodzi od zmysłów, zapytał troskliwie:

— Co ci się stało, kochany sąsiedzie?

— Jestem chory, mój Świstaku, bardzo chory... i to chory na coś, co mnie przeraża! Umiesz liczyć puls?

— Owszem, troszkę.

— Zbadaj, czy przypadkiem nie mam gorączki.

Świstak podniósł prawą przednią łapkę i zbadawszy puls Pinokia odezwał się z westchnieniem:

— Mój kochany, bardzo mi nieprzyjemnie, ale muszę ci powiedzieć coś przykrego!...

— To znaczy?

— Masz bardzo brzydką gorączkę!...

— A cóż to za gorączka?

— Ośła gorączka.

— Nie znam takiej gorączki! — odrzekł pajac, chociaż od razu zrozumiał, co to znaczy.

— W takim razie ja ci to wyjaśnię — dodał Świstak. — Dowiedz się więc, że za dwie lub trzy godziny nie będziesz już ani pajacem, ani chłopcem.

— A czymże będę?

— Za dwie albo trzy godziny staniesz się prawdziwym osłem, takim jak te, które ciągną wózki i wożą na targ kapustę i sałatę.

— Och! Biedny ja! — krzyknął Pinokio chwytając obiema rękami uszy i ciągnąc, i targając je, jak gdyby to były uszy kogoś innego.

— Mój kochany — rzekł Świstak chcąc go pocieszyć — cóż na to poradzisz? To już takie przeznaczenie. Tak zapisano w księdze mądrości, że wszyscy rozwłóczeni chłopcy, którzy pogardzają szkołą, książkami i nauczycielami, a cały dzień spędzają na zabawach, grach i rozrywkach, muszą wcześniej czy później zmienić się w osiołki.

— Ale czy to naprawdę tak jest? — zapytał pajac zanosząc się od płaczu.

— Niestety tak! I płacze nic już teraz nie pomogą. Trzeba było zastanowić się wcześniej.

— Ale to nie moja wina, kochany Świstaku, to wina Knota!...

— Któż to jest ten Knot?

— To mój kolega szkolny. Ja chciałem wrócić do domu, chciałem być posłuszny, chciałem się uczyć, żeby dostać dobre świadectwo... ale Knot powiedział mi: „Po co ty tak kujesz? Po co ty chodzisz do szkoły? Jedź ze mną do Krainy Zabawek, tam już nie będziemy się uczyli, tam będziemy się bawili od rana do wieczora, tam będzie nam zawsze wesoło”.

— A dlaczego usłuchałeś rady tego fałszywego przyjaciela? Tego złego kolegi?

— Dlaczego? Dlatego, mój Świstaku, że jestem pajacem bez krzty rozumu... i bez serca. Och! Gdybym miał choć odrobinę serca, nie byłbym porzucił dobrej Wróżki, która mnie kochała jak prawdziwa matka i która tyle dla mnie zrobiła!... W tej chwili nie byłbym już pajacem... byłbym pracowitym chłopcem jak wielu innych! Och! Ale niech tylko spotkam tego Knota, to biada mu! Już ja mu powiem coś do ucha!

I chciał wyjść. Ale w drzwiach przypomniał sobie, że ma ośle uszy, a wstydząc się wyjść w tym stanie, cóż wymyślił? Wziął dużą, bawełnianą czapkę i nasunął ją aż po sam koniuszek nosa. Potem wyszedł i zaczął szukać Knota. Szukał go na ulicach, na placach, w teatrzykach, słowem — wszędzie, ale go nie znalazł. Pytał o niego wszystkich, których spotkał po drodze, ale nikt go nie widział. Więc poszedł do niego do domu i zapukał do drzwi.

— Kto tam? — zapytał Knot z wewnątrz.

— To ja! — odpowiedział pajac.

— Poczekaj chwilkę! Zaraz ci otworzę.

Po upływie pół godziny drzwi się otworzyły i wyobraźcie sobie zdziwienie Pinokia, kiedy wszedłszy do pokoju ujrzał swego przyjaciela Knota w wielkiej, bawełnianej czapce, nasuniętej aż po sam nos.

Widząc tę czapkę, Pinokio pocieszył się trochę i zaraz pomyślał sobie:

„Czyżby Knot miał tę samą chorobę, co ja? Czyżby i on miał oślą gorączkę?”

Udając, że niczego nie zauważył, zapytał go z uśmiechem:

— Jak się masz, mój kochany?

— Doskonale, jak mysz w fabryce serów parmezańskich.

— Mówisz na serio?

— A dlaczego miałbym cię okłamywać?

— Przepraszam cię, mój drogi, ale czemu masz na głowie tę czapkę, która zakrywa ci uszy?

— Tak mi nakazał lekarz, gdyż stłukłem sobie kolano. A ty, pajacyku, dlaczego masz na głowie tę bawełnianą czapkę nasuniętą aż po sam nos?

— Tak mi nakazał lekarz, gdyż otarłem sobie nogę.

— Och! Biedny Pinokio!...

— Och! Biedny Knocie!...

Po tych słowach zapanowało długie milczenie, po czym dwaj przyjaciele zaczęli spoglądać na siebie z drwiącą miną. Wreszcie pajac słodkim i melodyjnym głosikiem zapytał towarzysza:

— Powiedz mi, mój drogi, czy chorowałeś kiedy na uszy?

— Nigdy!... A ty?

— Nigdy! Tymczasem dziś, od samego rana, strasznie mnie boli ucho.

— Mnie także.

— Ciebie też?... A które ucho cię boli?

— Jedno i drugie. A ciebie?

— Jedno i drugie. Może to ta sama choroba?

— Boję się, że tak.

— Słuchaj, Knocie! Chcesz mi zrobić przyjemność?

— Z największą ochotą!

— Pokaż mi swoje uszy.

— Czemu nie? Ale przedtem pokaż mi swoje, mój kochany Pinokio.

— Nie, najpierw ty.

— Nie, kochanie! Najpierw ty, a potem ja!

— W takim razie — rzekł pajac — zrobmy układ jak dobrzy przyjaciele.

— Posłuchajmy, co to za układ.

— Obaj zdejmemy czapki równocześnie, godzisz się?

— Godzę się.

— A więc uwaga!

Pinokio zaczął liczyć głośno:

— Raz! Dwa! Trzy!

Na komendę „trzy” obaj chłopcy zdjęli czapki i podrzucili je w górę.

I wówczas nastąpiła scena, która wydawałaby się nie do uwierzenia, gdyby nie była prawdziwa. Otóż Pinokio i Knot widząc, że obaj są dotknięci tą samą chorobą, zamiast boleć nad tym i zaznać upokorzenia, zaczęli mrugać do siebie i pokazywać sobie wzajemnie te nadmiernie wydłużone uszy, aż nareszcie po tysięcznych błazeństwach parsknęli niepohamowanym śmiechem.

I tak śmiali się i śmiali, i śmiali, aż wśród tego śmiechu Knot ucichł nagle i chwiejąc się, i blednąc rzekł do przyjaciela:

— Na pomoc, na pomoc, Pinokio!

— Co ci się stało?

— Biada mi! Nie mogę utrzymać się na nogach.

— Ja także nie mogę! — zawołał Pinokio płacząc i zataczając się.

I mówiąc to, obaj pochylili się i na czworakach zaczęli kręcić się i biegać po pokoju. I gdy tak uganiali, ramiona ich zmieniły się w nogi, twarze wydłużyły się w pyski, a grzbiety pokryły się sierścią szarą, nakrapianą czarnym.

Ale czy wiecie, jaka chwila była najprzykrzejsza dla obu nieboraków? Otóż najprzykrzejsza i najbardziej upokarzającą chwilą była ta, kiedy uczuli, że z tyłu wyrastają im ogony. Zdruzgotani wstydem i bólem, usiłowali płakać i narzekać na swój los.

Gdybyż nie byli narzekali! Zamiast jęków i lamentów obaj wydawali ośle ryki, obaj ryczeli zgodnie: „I-ja, i-ja, i-ja!”

W tejże chwili ktoś zapukał do drzwi i jakiś głos zawołał z zewnątrz:

— Otwórzcie! To ja, malutki woźnica, który was przywiózł do tej krainy. Otwórzcie zaraz, bo będzie źle!

XXXIII

*Pinokia, który stał się prawdziwym osłem, prowadzą na targ,
gdzie kupuje go dyrektor cyrku z zamiarem nauczania go tańców i skoków przez kółko;
pewnego jednak wieczoru osioł okulał i dyrektor odsprzedaje go na skórę do obicia bębna*

Widząc, że drzwi się nie otwierają, tłusty człowieczek wyważył je silnym kopnięciem, a wszedłszy do pokoju odezwał się do Pinokia i Knota ze zwykłym swoim uśmiechem:

— Brawo, chłopcy! Doskonale ryczycie, zaraz was poznałem po głosie. I dlatego właśnie przyszedłem.

Słyszając te słowa, osiołki posmutniały i, wzięwszy ogony pod siebie, stały ze spuszczoneymi głowami i uszami. Zrazu mały woźnica zaczął je klepać, głaskać i pieścić, po czym wyciągnąwszy zgrzebło zabrał się do czesania. A kiedy już wyczesał je tak dokładnie, że sierść ich lśniła jak lustro, wówczas nałożył im uździenice i zaprowadził na plac targowy w nadziei, że je sprzeda i dobrze się przy tym obłowi.

Istotnie, nie trzeba było długo czekać na kupców.

Knota kupił pewien wieśniak, któremu właśnie poprzedniego dnia zdechł osioł, a Pinokia nabył dyrektor trupy pajaców i linoskokczków, który postanowił wyuczyć go skakać i tańczyć razem z innymi zwierzętami swego cyrku.

Rozumiecie teraz, moi mali czytelnicy, czym się to trudnił okrągłutki woźnica? Ten szpetny potworek, ze słodką jak miód buziunią, co pewien czas jeździł swoim wozem po świecie i po drodze przywabiał obietnicami i pochlebstwami wszystkich rozpróżnionych chłopców, którzy uprzykrzyli sobie książki i szkołę; skusiwszy ich, ładował wszystkich do wozu i dostawiał do Krainy Zabawek, żeby tam spędzali czas na grach, figlach i rozrywkach. A kiedy ci biedni, obalamuceni chłopcy, na skutek tych ciągłych zabaw i braku nauki, stawali się prawdziwymi osłami, wówczas zjawiał się wesoły i zadowolony i prowadził ich na targ czy na jarmark, aby sprzedać. W ten sposób w krótkim czasie zarobił moc pieniędzy i stał się milionerem.

Co się stało z Knotem, tego nie wiem; wiem tylko, że Pinokia czekało teraz twarde i ciężkie życie. Kiedy go zaprowadzono do stajni, jego nowy pan napełnił mu żłób słomą, ale Pinokio, skosztowawszy parę ździebełek, natychmiast je wypluł. Wówczas pan, gderając trochę, rzucił mu do żłobu wiązkę siana, ale i siano Pinokiovi nie smakowało.

— Co? Nawet i siano ci nie smakuje?! — krzyknął rozgniewany pan. — Poczekaj tylko, mój cacany osioleczku, jeżeli ci się zachciewa jakichś kaprysów, to już ja mam sposoby, żeby cię oduczyć.

I tytułem kary trzasnął go biczem po nogach. Pinokio z wielkiego bólu zaczął płakać i ryczeć, a rycząc mówił tak:

— I-ja, i-ja, nie mogę strawić słomy!...

— Więc jedz siano! — odparł dyrektor, który doskonale rozumiał ośłą gwarę.

— I-ja, i-ja, siano przyprawia mnie o boleści!...

— Chciałbyś, żebym takiego jak ty ośła karmił białym mięskiem kury i galantyną z kapłona?

— rzekł dyrektor złoścąc się coraz bardziej i znowu bijąc go po nogach.

Pinokio zamilkł przezornie i od razu się uspokoił.

Tymczasem stajnię zamknięto i Pinokio został sam, a ponieważ od wielu godzin nic nie miał w ustach, przeto zaczął ziewać z głodu. A ziewając otwierał gębę, szeroką jak piec piekarski. W końcu, nie znalazłszy w żłobie nic innego, zdecydował się zgryźć trochę siana, a pogryzłszy dobrze, zamknął oczy i przełknął.

— To siano nie jest wcale takie złe — powiedział potem do siebie — ale o ileż byłoby lepiej, gdybym był się uczył! W tej chwili zamiast siana mógłbym pałaszować piętękę świeżego chleba i kawał kiełbasy!... Co robić?... Trudno!...

Nazajutrz, obudziwszy się, zaraz rzucił się do żłobu, żeby przegryźć jeszcze trochę siana, ale już nic nie znalazł, ponieważ wyjadł przez noc wszystko, co było. Wówczas skosztował trochę siczki, ale kiedy ją żuł, musiał przyznać, że smak siczki w niczym nie przypomina ani risotta po mediolańsku, ani makaronu po neapolitańsku.

— Trudno!... — powtórzył żując dalej. — Żeby chociaż! moja niedola była nauką dla niesfornych chłopców, którzy nie chcą się uczyć. Trudno!... Trzeba mieć cierpliwość!...

— Ja ci dam cierpliwość! — wrzasnął dyrektor wchodząc do stajni. — Czyżbyś wyobrażał sobie, mój śliczny osiołeczku, że kupiłem cię jedynie po to, aby dawać ci jeść i pić? Kupiłem cię po to, żebyś pracował i żebym zarobił na tobie dużo pieniędzy. Chodź ze mną do cyrku, nauczę cię skakać przez kółka, przebijać głową obręcz papierowe, tańczyć walca i polkę stojąc prosto na tylnych nogach.

Biedny Pinokio, chcąc nie chcąc, musiał się nauczyć tych pięknych sztuczek. Nauka ta wymagała trzech miesięcy ciężkiej pracy, wielu bolesnych razów, tak ostrych, że aż sierść fruwała.

Nadszedł wreszcie dzień, w którym dyrektor mógł obwieścić przedstawienie naprawdę nadzwyczajne. Różnokolorowe afisze rozlepione na rogach ulic zapowiadały:

**WIELKIE
PRZEDSTAWIENIE GALOWE**

DZIŚ WIECZOREM
WYKONANY ZOSTANIE WSPANIAŁY PROGRAM

**UDZIAŁ BIORĄ
WSZYSCY ARTYŚCI OBOJGA PŁCI**

PONADTO

WIELKA SENSACJA

PO RAZ PIERWSZY WYSTĄPI
FENOMENALNY OSIOŁ

PINOKIO

ZWANY
„GWIAZDĄ TAŃCA”

TEATR BĘDZIE OŚWIETLONY A GIORNO*

* A giorno (po włosku) — rześście, jasno

Jak sobie możecie wyobrazić, tego wieczoru na godzinę przed przedstawieniem cyrk był już przepełniony.

Nie było już można dostać ani jednego wolnego fotela, ani jednego krzesła, ani jednej łoży nawet za worek złota. Schody cyrku roiły się od dzieci, dziewczynek i chłopczyków różnego wieku, którzy aż drżeli z wielkiej chęci ujrzania, jak tańczy ten słynny osiołek Pinokio.

Po skończonej pierwszej części przedstawienia ukazał się dyrektor cyrku w czarnym fraku, w obcisłych białych spodniach i wysokich skórzanych butach, które sięgały mu powyżej kolan. Stanąwszy przed tłumem publiczności, złożył niski ukłon i uroczyście wygłosił następujące niedorzeczne przemówienie:

Szanowna publiczności, panie i panowie!

Niżej podpisany sługa i podnózek, będąc w przejeździe przez tę wspaniałą stolicę, chce dostąpić zaszczytu, a także i przyjemności zaprezentowania zgromadzonym tu inteligentnym i wybrednym widzom słynnego osiołka, który już nieraz miał honor tańczyć wobec ich cesarskich mości na licznych dworach Europy.

Składając podziękowanie, polecamy się waszej podniecającej obecności i prosimy o względy!

Przemówienie dyrektora przyjęte zostało wielkimi wybuchami śmiechu i wielkimi oklaskami, ale oklaski wzmogły się i przeszły w istny huragan, kiedy na arenie cyrku ukazał się osiołek Pinokio, wystrojony jak na paradę. Miał nowiutką uzdeczkę ze świecą skóry z mosiężnymi sprzączkami i okuciami, a za uszami dwie białe kamelie. Grzywa jego podzielona była na małe loczki, wiązane czerwonymi, jedwabnymi wstążkami i kutasami; przepasany był w pół szerokim, złotosrebrnym pasem, a cały ogon miał zapleciony amarantowymi i niebieskimi aksamitkami. Słowem, osiołek po prostu do zakochania.

Przedstawiając go publiczności dyrektor dodał:

Czcigodni słuchacze! Nie będę was okłamywał opowiadając o wielkich trudnościach, jakie musiałem pokonać, aby zrozumieć i ujarzmić tego ssaka, gdy pasał się swobodnie na górach i szerokich równinach gorących stref. Zauważcie, proszę, jaka dzikość błyszczy w jego oczach, toteż zważywszy, że wszystkie środki przyzwyczajania go do sposobu życia przyzwoitych czworonogów okazały się płonne, musiałem często uciekać się do przekonującej mowy bicz. Ale cała moja uprzedająca grzeczność, zamiast obłaskawić go, wpłynęła jeszcze bardziej ujemnie na jego usposobienie. Niemniej, kierując się systemem Gaillesa, znalazłem w jego czaszce małą narośl kartagińską, którą Fakultet Medyczny w Paryżu rozpoznał jako odżywczą cebulkę włosów i tańca doryckiego. I dlatego chciałem wyćwiczyć go w tańcu, a także w skokach przez kółka i obręcze zalepione papierem. Podziwiającie go, a potem wydajcie sąd! Zanim jednakże pożegnam się z wami, pozwólcie, szanowni państwo, że was zaproszę na dzienne przedstawienie jutro wieczorem, ale gdyby, dajmy na to, deszczowa pogoda zapowiadała ulewę, wówczas, zamiast jutro wieczorem, przedstawienie odbędzie się pojutrze o jedenastej, przed południem tegoż popołudnia.

Dyrektor złożył drugi głęboki ukłon, po czym zwrócił się do Pinokia i rzekł:

— Dalejże, Pinokio! Zanim przystąpisz do popisywania się swoimi sztukami, ukłoń się szanownej publiczności, paniom, panom i młodzieży!

Pinokio posłusznie zgiął oba przednie kolana do samej ziemi i pozostał na klęczkach aż do chwili, kiedy dyrektor, trzaskając biczem, zawołał:

— Stępa!

A wtedy osiołek zerwał się na cztery nogi i zaczął okrążyć arenę idąc stępa.

Po chwili dyrektor krzyknął:

— Klusem!... — a Pinokio, posłuszny komendzie, zmienił stępa na klus.

— Galopem! — i Pinokio puścił się galopem.

— Cwałem! — i Pinokio zaczął wyścig cwałem.

A kiedy tak galopował jak koń berberyjski, dyrektor podniósł rękę i wypalił z pistoletu. Na ten strzał osiołek, udając, że jest ranny, upadł na arenę, jak gdyby naprawdę konał. Wstawszy z ziemi wśród huraganu oklasków, krzyków i wiwatów, które leciały aż pod gwiazdy, Pinokio podniósł oczywiście głowę i spojrzął na widownię... i tak patrząc, zauważył w jednej łoży piękną damę, która miała na szyi ciężki złoty łańcuch z medalionem. W medalionie był namalowany portret pajaca.

„To mój portret!.. Ta dama to Wróżka!” — rzekł do siebie Pinokio poznawszy ją od razu i, nie posiadając się z wielkiej radości, usiłował krzyknąć: „O Wróżko!, Wróżko moja!” Ale zamiast tych słów wydał tak silny i przeciągły ryk, że wszyscy widzowie, a zwłaszcza chłopcy, zaczęli pękać ze śmiechu.

Wówczas dyrektor, chcąc go nauczyć i dać do zrozumienia, że to nieprzyzwoicie tak ryczeć wobec publiczności, uderzył go rączką bicz po nosie. Biedny osiołek wyciągnawszy calutki język, musiał lizać sobie nos przynajmniej przez pięć minut, wyobrażając sobie, że w ten sposób złagodzi ból, jaki mu zadano. Ale jakaż była jego rozpacz, kiedy podniósłszy głowę po raz drugi, ujrzał, że łoża była pusta i że Wróżka znikła!... Myślał, że umrze z żalu, oczy jego napełniły się łzami i zaczął rzewnie płakać. Ale nikt tego nie zauważył, a tym mniej dyrektor, który trzaskając biczem, zawołał:

— Dalejże, Pinokio! Pokaż szanownym państwu, z jakim wdziękiem umiesz skakać przez kółka.

Pinokio próbował dwa czy trzy razy, ale stanąwszy przed kółkiem nie przeskakiwał go, tylko wygodnie przechodził dołem. Nareszcie wziął rozmach i przeskoczył, ale na nieszczęście tylne nogi zaplątały mu się w kółko i runął na ziemię jak długi. Kiedy się podniósł, był kulawy i z wielkim trudem zdołał powrócić do stajni.

— Pinokio! Chcemy Pinokia! Niech się pokaże osiołek! — krzyczeli chłopcy z parteru, zdjęci litością i wzruszeni smutnym wypadkiem.

Ale tego wieczoru osiołek już się nie pokazał.

Nazajutrz rano weterynarz, czyli doktor od zwierząt, zbadał go i orzekł, że osiołek będzie już kulał przez całe życie.

Wówczas dyrektor powiedział do chłopca stajennego:

— Co mi teraz przyjdzie z tego kulawego osła? Nie mam ochoty utrzymywać darmożjada. Zaprowadź kłapoucha na targ i sprzedaj go.

Gdy tylko przyszli na targ, zaraz znaleźli kupca, który zapytał chłopca stajennego:

— Ile chcesz za tego kulawego osła?

— Dwadzieścia lirów.

— Dam ci dwadzieścia soldów. Nie wyobrażaj sobie, że on mi się na coś przyda, kupuję go wyłącznie ze względu na jego skórę. Widzę, że ma bardzo twardą skórę, więc chcę zrobić z niej bęben dla orkiestry w naszym miasteczku.

Możecie sobie wyobrazić, dzieci, jaka to była wielka przyjemność dla Pinokia, kiedy usłyszał, że był przeznaczony na obicie bębna!

I rzeczywiście, po zapłaceniu dwudziestu soldów ów nabywca zaprowadził osiołka na skałę nad brzegiem morza, a zawiesiwszy mu kamień na szyi, przewiązał mu jedną nogę sznurem, którego koniec trzymał w ręce, i pchnął zniemacka do wody. Pinokio z tym głazem na szyi natychmiast poszedł na dno, a kupiec usiadł na skale ze sznurem w ręce i czekał, aż osiołek utopi się w morzu, aby z martwego już osiołka móc łatwo ściągnąć skórę.

XXXIV

**Pinokio, wrzucony do morza i ogryziony przez ryby,
staje się znowu pajacem, takim jak dawniej, ale kiedy płynie,
żeby się ocalić, zostaje, połknięty przez straszliwego rekina**

Przez pięćdziesiąt minut kupiec trzymał osiołka pod wodą, aż w końcu powiedział do siebie:
— Mój biedny kulawy osiołek pewnie już na dobre utonął. Wyciągnijmy go zatem i zrobmy piękny bęben z jego skóry.

I zaczął ciągnąć sznur, którym przywiązał mu nogę; ciągnie, ciągnie, ciągnie i w końcu ujrzał na powierzchni wody...

Zgadnijcie co? Zamiast martwego osiołka ujrzał na powierzchni wody żywego pajaca, który się skręcał jak węgorz.

Zobaczywszy drewnianego pajaca, biedny kupiec myślał, że śni, i stał osłupiały wybałuszony oczy.

Ocknąwszy się trochę z pierwszego zdumienia, wyjąkał z płaczem:

— A gdzie jest ten osiołek, którego wrzuciłem do morza?

— Tym osłem jestem ja! — odpowiedział pajac śmiejąc się.

— Ty?

— Ja.

— Ach, ty szelmo! Chcesz sobie kpić ze mnie?

— Kpić z pana? Nic podobnego; mówię zupełnie poważnie.

— Ale jakże to, przed chwilą byłeś osłem, a teraz pod wodą zmieniłeś się w drewnianego pajaca?

— To pewnie działanie wody morskiej. Morze lubi płatać takie figle.

— Miej się na baczności, pajacu, miej się na baczności!... Nie myśl, że możesz się natrzasać ze mnie. Jeżeli stracę cierpliwość, to biada ci!

— Chce pan usłyszeć moją prawdziwą historię? Jeżeli tak, to proszę odwiązać mi nogę, a zaraz opowiem wszystko tak, jak było.

Zapalczywy kupiec strasznie był ciekawy, co to była za historia, więc od razu rozluźnił węzeł sznura, którym skępował nogę pajaca, a wtedy Pinokio, czując się wolny jak ptak, zaczął mu opowiadać w ten sposób:

— Trzeba panu wiedzieć, że byłem drewnianym pajacem, tak jak teraz, ale w pewnej chwili już, już miałem stać się chłopcem, takim, jakich wielu na tym świecie, jednakże, czy to przez niechęć do nauki, czy też za namową złych kolegów, uciekłem z domu... i pewnego pięknego dnia, obudziwszy się, ujrzałem, że zmieniłem się w osła z takimi wielkimi uszami... i z takim długim ogonem!... Co za wstyd dla mnie!... Och, panie kochany, oby święty Antoni, patron wszelkiego bydła, nigdy panu nie dał tego zaznać! Potem zaprowadzili mnie na osli jarmark i tam kupił mnie dyrektor cyrku konnego, który ubzdurał sobie, że zrobi ze mnie świetnego tancerza i skoczka przez kółko, ale pewnego wieczoru, podczas przedstawienia, upadłem nieszczęśliwie na arenie i okulałem na obie nogi. Wówczas dyrektor, nie wiedząc, co robić z kulawym osłem, kazał mnie odprzedać, a pan mnie właśnie kupił!

— Niestety! I zapłaciłem za ciebie dwadzieścia soldów. I któż mi teraz zwróci te moje biedne dwadzieścia soldów?

— A w jakim celu mnie pan kupił? Kupił mnie pan, żeby z mojej skóry zrobić bęben!... Bęben!...

— Niestety! A gdzie ja teraz znajdę taką skórę?

— Niechże pan tylko nie rozpacza. Dostyc jest osłów na tym świecie.

— Powiedz no, bezczelny smarkaczu, czy to już koniec twojej historii?

— Nie — odrzekł pajac — jeszcze tylko dwa słowa i już koniec. Kupiwszy przyprowadził mnie pan na to miejsce, żeby zabić, ale potem, ulegając uczuciu litości, wolał pan uwiązać mi

kamień u szyi i wrzucić do morza. To humanitarne uczucie przynosi panu wielki zaszczyt, a ja za to zachowam dla pana wdzięczność po wieczne czasy. Jednak tym razem nie liczył się pan z Wróżką...

— Któż to jest ta Wróżka?

— To moja mamusia, podobna do wszystkich innych matek, które kochają swoich synków i nigdy ich nie tracą z oczu, które z czułością opiekują się nimi w każdym nieszczęściu, nawet jeżeli ci chłopcy za swoje wybryki i swawolę zasługiwaliby na to, aby ich zostawić własnemu losowi. Mówiłem więc, że gdy tylko dobra Wróżka ujrzała, iż grozi mi niebezpieczeństwo utonięcia, wysłała natychmiast całą masę ryb, które, uważając mnie za nieżywego osła, zaczęły mnie jeść. I jak mnie pożerały! Nigdy nie myślałem, że ryby są jeszcze żarłoczniejsze od chłopców! Jedna ryba obgryzła mi uszy, inna zjadła pysk, ta szyję i grzywę, tamta skórę z nóg, jeszcze inna całą sierść z grzbietu... Wśród nich znalazła się nawet uprzejma rybka, która raczyła spożyć mój ogon.

— Przysięgam — rzekł ogarnięty wstrętem kupiec — że od dziś nigdy już nie skosztuję ryby. Byłoby mi zbyt przykro, gdybym we wnętrzu barweny albo smażonego dorsza znalazł ośli ogon.

— Jestem tego samego zdania — odparł pajac śmiejąc się. — Zresztą muszę panu powiedzieć, że kiedy te ryby obgryzły już całą powłokę osła, która pokrywała mnie od głowy do nóg, dobrały się, oczywiście, do kości... a raczej do drewna, gdyż jak pan widzi, jestem zrobiony z bardzo twardego drewna. Ale już po pierwszych próbach ugryzienia te żarłoki-ryby od razu zmiarkowały, że drewno to nie mięso dla ich zębów i, obrzydliwszy sobie to niestrawne pożywienie, odpłynęły nie podziękowawszy mi nawet... I oto opowiedziałem panu, w jaki sposób, ciągnąc za sznur, wydobyl pan żywego pajaca zamiast martwego osła.

— Śmiać mi się chce z tej twojej historii! — krzyknął rozszłoszczony kupiec. — Wiem, że wydałem na ciebie dwadzieścia soldów i muszę je odzyskać. Wiesz, co zrobię? Zaniosę cię z powrotem na targ i odprzedam na wagę suchego drzewa, dobrego na opał do kominka.

— Niechże mnie pan odprzedza, bardzo, bardzo mnie to cieszy — rzekł Pinokio.

Ale mówiąc to, skoczył ślicznie i plusnął w wodę. Płynąc wesoło i oddalając się od brzegu, wołał do biednego kupca:

— Żegnaj, mój nabywco; jeżeli będzie pan potrzebował skóry na bęben, proszę pamiętać o mnie!

I znowu śmiał się i płynął; po chwili odwrócił się i krzyknął głośniejsz:

— Żegnaj, mój panie nabywco; jeżeli będziesz pan potrzebował suchego drzewa do palenia na kominku, proszę pamiętać o mnie!

W okamgnieniu był już daleko, że prawie nie było go widać, a raczej widać było tylko mały, czarny punkcik, który od czasu do czasu wyrzucał nogi nad wodę oraz skakał i przewracał koziółki jak delfin w przystępie dobrego humoru. Gdy tak płynął na los szczęścia, ujrzał pośrodku morza skałę jak gdyby z białego marmuru, a na szczycie tej skały piękną kózkę, która beczała czule i dawała mu znaki, żeby się przybliżył.

Ale najdziwniejsze było to, że sierść kózki nie była ani biała, ani czarna, ani też w czarne i białe plamy jak u innych kóz, lecz jasnobłękitna. przypominająca barwą włosy ślicznej Dzieweczki.

Wyobraźcie sobie sami, jak silnie zaczęło bić serce Pinokia!

Zdwoiwszy siły i energię popłynął w kierunku białej skały i był już w połowie drogi, gdy nagle, tuż przed nim, wychyliła się z wody okropna głowa potwora morskiego z pyskiem rozwartym jak otchłań i z trzema rzędami kłów, które mogłyby wzbudzić przestрах nawet wówczas, gdyby je ktoś zobaczył wymalowane na obrazie.

A czy wiecie, co to był za potwór morski?

Ów potwór morski był to właśnie ten olbrzymi rekin, o którym nieraz była mowa w tym opowiadaniu, a który z powodu nienasyconej żarłoczności i spustoszeń, jakie wyrządzał, przezwany został Postrachem ryb i rybaków.

Wyobraźcie sobie przerażenie biednego Pinokia na widok tego potwora.

Usiłował wyminać go i zmienić kierunek, próbował uciec ale ta nieskończenie wielka, rozwarta paszcza zbliżała się do niego z szybkością strzały.

— Prędeż, Pinokio, na miłość boską, spiesz się! — wołała becząc piękna kózka.

A Pinokio płynął poruszając rozpaczliwie ramionami, piersiami, nogami i stopami.

— Prędeż, Pinokio, na miłość boską, spiesz się! — wołała.

A Pinokio, zbierając wszystkie swoje siły, podwoił szybkość, z jaką uciekał.

— Uważaj, Pinokio!... Potwór dosięga cię!... Już!... Już cię dosięga!... Spiesz się, bo zginiesz!...

A Pinokio płynął jeszcze, jeszcze, jeszcze szybciej, szybko jak wystrzelona kula.

I już był blisko skały, i już kózka, wychylając się, podawała mu swoje przednie nóżki, aby mu pomóc wyjść z wody!.. Ale!... Ale było za późno! Potwór dosięgnął go, wciągnął oddech i połknął biednego pajaca, jak gdyby połykał kurze jajko; i w dodatku połknął go tak gwałtownie i z taką chciwością, że Pinokio wpadając w głąb cielska rekina uderzył się tak nieszczęśliwie, że przez kwadrans leżał oszołomiony.

Kiedy oprzytomniał z przerażenia, sam nie wiedział, co się stało, nie wiedział, gdzie się znajduje. Dokoła niego panowała ciemność, ale ciemność tak głęboka i czarna, że zdawało mu się, jak gdyby wpadł do kałamarnicy pełnego atramentu. Nadstawił ucha, ale nie usłyszał żadnego dźwięku, tylko od czasu do czasu czuł na twarzy silne podmuchy wiatru. Z początku nie domyślał się nawet, skąd ten wiatr wieje, ale potem zrozumiał, że ten wiatr wychodzi z płuc potwora. Bo trzeba wiedzieć, że rekin miał ciężką astmę i kiedy oddychał, wydawało się, że to dmie wiatr północny.

W pierwszej chwili Pinokio dodawał sobie odwagi, ale kiedy przekonał się na dobre, że jest zamknięty w cielsku potwora morskiego, wówczas zaczął płakać i krzyczeć:

— Na pomoc! Na pomoc! O, ja biedny! Czy nikt nie przyjdzie mnie ocalić?

— A któż cię ma ocalić, nieboraku? — odezwał się w ciemności jakiś ochryply głos, który brzmiał jak rozstrojona gitara.

— Któż to mówi? — zapytał Pinokio czując, że lodowacieje z przerażenia.

— To ja, biedny Tuńczyk, którego rekin połknął razem z tobą. A ty jaką rybą jesteś?

— Nie mam nic wspólnego z rybami. Jestem pajacem.

— Skoro nie jesteś rybą, dlaczego dałeś się połknąć?

— To nie ja dałem się połknąć, to ten potwór mnie połknął! O, cóż my teraz zrobimy w tych ciemnościach?

— Poddamy się losowi i poczekamy, aż rekin strawi nas obu!...

— Ale ja nie chcę być strawiony! — krzyknął Pinokio znowu wybuchając płaczem.

— Ja także nie chcę być strawiony — odparł Tuńczyk — ale jestem trochę filozofem i pocieszam się myślą, że skoro się urodziłem Tuńczykiem, to szczytniej będzie umrzeć w wodzie niż w oliwie!...

— Głupstwa! — krzyknął Pinokio.

— Wypowiedziałem moje własne zdanie — odparł Tuńczyk — a cudze zdanie, jak twierdzą dobrze wychowane Tuńczyki, winno być szanowane!...

— Ale ostatecznie... ja chcę się stąd wydostać... chcę uciec...

— Jeżeli ci się uda, to uciekaj!...

— A czy bardzo wielki jest ten rekin, który nas połknął? — zapytał pajac.

— Wyobraź sobie, że jego ciało ma kilometr długości, nie licząc ogona.

W czasie tej rozmowy w ciemności wydało się nagle pajacowi, że z daleka, z daleka dostrzega jakąś jasność.

- Co to za światełko, co tam z daleka migoce?
- To pewnie jeden z naszych towarzyszy niedoli, który tak jak i my oczekuje chwili, kiedy będzie strawiony.
- Pójdę go szukać. Kto wie, może to jakaś stara ryba, która mogłaby mi wskazać drogę do ucieczki?
- Życzę ci tego z całego serca, mój drogi pajacyku.
- Żegnaj, Tuńczyku!
- Żegnaj, pajacu, oby ci się powiodło!
- Gdzie się spotkamy?
- Kto tam wie? Lepiej o tym nie myśleć!

XXXV

Pinokio odnajduje w cielsku rekina...

Kogóż to odnajduje? Przeczytajcie ten rozdział, a dowiedzie się

Pożegnawszy się ze swoim przyjacielem Tuńczykiem, Pinokio ruszył w drogę drepcząc w ciemnościach i po omacku zaczął się posuwać we wnętrzu rekina, stawiając krok za krokiem w kierunku światełka, które migotało z daleka, z daleka. Idąc czuł, że nogi jego brodzą w kałuży tłustej i śliskiej wody, która zalatywała tak ostrą wonią smażonej ryby, że wydało mu się, jakoby właśnie był okres wielkiego postu. A im dalej szedł, tym jaśniejsze i wyraźniejsze stawało się to światełko, więc pajac idzie i idzie, aż nareszcie doszedł... a kiedy doszedł... Cóż tam ujrzał? Nigdy byście tego nie odgadli; ujrzał nakryty obrusem stolik, na którym stała zapalona świeca zatknięta w butelkę z zielonego szkła, a dalej ujrzał siedzącego przy stole staruszka tak siwego, jaki gdyby był cały ze śniegu albo z bitej śmietany; staruszek gryzł żywe rybki, ale tak żywe, że mu nawet uciekały z ust podczas jedzenia.

Na ten widok ogarnęła biednego Pinokia tak wielka, tak niespotykana radość, że o mało nie postradał zmysłów. Chciał się śmiać, chciał płakać, chciał powiedzieć mnóstwo rzeczy, a tymczasem kwilił niezrozumiale i bełkotał urywanymi i niedorzecznymi słowami.

W końcu udało mu się wydać okrzyk radości i otwierając ramiona rzucił się na szyję staruszka wołając:

— Och! Tatuśku mój! Nareszcie cię odnalazłem! Teraz już cię nigdy nie opuszczę, nigdy, nigdy, nigdy więcej!

— A więc nie myli mnie wzrok? — odrzekł staruszek przecierając sobie oczy. — To naprawdę ty, mój kochany Pinokio?

— Tak, tak, to ja, to ja! Czyś mi już wszystko wybaczył? Prawda, że tak? Och! Tatuśku kochany, jakiś ty dobry!... I pomyśleć, że ja, tymczasem... och! Gdybyś wiedział, ile nieszczęść spadło na moją głowę, jakie miałem niepowodzenia! Wyobraź sobie, że tego dnia, kiedy ty, ojczulku, sprzedałeś swój kaftan, żeby mi kupić elementarz szkolny, ja uciekłem, żeby zobaczyć teatr marionetek, a dyrektor chciał mnie wrzucić do ognia, żeby upiec na rożnie barana, i on to właśnie dał mi potem pięć cekinów, żeby ci je zanieść, a ja spotkałem Lisa i Kota, którzy mnie zaprowadzili do gospody „Pod Czerwonym Rakiem”, gdzie się objedli jak wilki, a kiedy sam wyruszyłem nocą w drogę, spotkałem zbójców, którzy zaczęli mnie ścigać, ja uciekam, a oni ciągle za mną, aż w końcu powiesili mnie na gałęzi Wielkiego Dębu, dokąd śliczna Dzieweczka o błękitnych włosach posłała po mnie powozik i sprowadziła lekarzy, którzy zbadawszy mnie, od razu orzekli: „Jeżeli nie umarł, to znak, że jeszcze żyje” — i wtedy wymknęło mi się kłamstwo, i nos zaczął mi się wydłużać, i nie mógł się już zmieścić w drzwiach, i dlatego poszedłem z Lisem i Kotem zagrzebać cztery cekiny, bo jednego wydałem w gospodzie, a papuga zaczęła się śmiać, a ja zamiast dwóch tysięcy nie znalazłem nic a nic, a sędzia dowiedziawszy się, że mnie okradziono, wsadził mnie do

więzienia dla uciechy złodziei, a wyszedłszy stamtąd ujrzałem w winnicy piękne winogrona i schwytałem się w paści wieśniaka, który słusznie założył mi na szyję psią obrozę, żebym strzegł kurnika, a kiedy się przekonał o mojej niewinności, puścił mnie wolno, wąż zaś z dymiącym ogonem zaczął się śmiać, więc mu pękła żyłka w piersiach, i tak wróciłem do domu Dzieweczki, która umarła, a Gołąb widząc, że płaczę, powiedział mi: „Widziałem twojego tatusia, który budował sobie czółenko, żeby popłynąć na poszukiwanie ciebie” — a ja mu powiedziałem: „Och! Gdybym i ja miał skrzydła” — a on mi powiedział: „Chcesz pojechać do twojego tatusia?” — a ja mu powiedziałem: „Jeszcze jak! Ale kto mnie tam zawiezie?” — a on powiedział: „Ja cię zabiorę” — a ja mu powiedziałem: „W jaki sposób?” — a on mi powiedział: „Wsiądź na mnie jak na konia” — i tak lecieliśmy przez całą noc, a nazajutrz rano wszyscy rybacy, którzy patrzyli na morze, powiedzieli mi: „Jest tam pewien biedny człowiek w łódeczce, który tonie” — a ja z daleka od razu cię poznałem, bo serce mi to mówiło, i dawałem ci znaki, żebyś zawrócił w kierunku brzegu...

— I ja ciebie poznałem — odezwał się Dżepetto. — Chętnie byłbym dobił do brzegu, ale jak to mogłem zrobić? Morze było wzburzone, a ogromna fala przewróciła mi łódeczkę. I wtedy straszliwy rekin, który był w pobliżu, podpłynął, gdy tylko ujrzał mnie w wodzie, i wyciągnąwszy język połknął mnie bez ceremonii tak jak się połyka pasztecik.

— A od jak dawna siedzisz tu zamknięty? — zapytał Pinokio.

— Od tego dnia minęło już ze dwa lata, dwa lata, mój chłopcze, które mi się wydają długie jak dwa stulecia!

— A jakżeś tu mógł żyć? Gdzie znalazłeś tę świecę? A kto ci dał zapałki? I co jadłeś przez te dwa lata?

— Zaraz ci wszystko opowiem. Musisz wiedzieć, że ta sama burza, która przewróciła moją łódeczkę, zatopiła również okręt handlowy. Marynarze uratowali się, ale okręt poszedł na dno, a ten oto rekin, który tego dnia miał niezwykły apetyt, połknął najpierw mnie, a potem cały okręt.

— Jak to? Połknął wszystko na jeden kąsek? — zapytał Pinokio zdumiony.

— Na jeden kąsek; wypluł tylko główny maszt, ponieważ utkwiał mu w zębach jak ość... Na szczęście dla mnie znalazł się na okręcie cały ładunek konserw mięsnych w cynowych puszkach, duża ilość biszkoptów, a raczej sucharów z chleba, butelki wina, suszone winogrona, sery, kawa, cukier, świece stearynowe i paczki z zapałkami woskowymi. Z tymi zapasami mogłem, Bogu dzięki, przeżyć te dwa lata, ale dzisiaj wszystko się już skończyło, spiżarnia pusta, a ta świeca, którą tu widzisz, jest ostatnią, jaka mi została...

— A potem?

— A potem, mój kochany, będziemy siedzieli w ciemnościach.

— W takim razie, tatusiu — rzekł Pinokio — nie ma czasu do stracenia. Musimy natychmiast uciekać.

— Uciekać?... Ale którą?

— Przez paszczę rekina: potem rzucimy się do morza i popłyniemy.

— Dobrze ci mówić, ale ja, mój kochany, nie umiem pływać.

— A cóż to szkodzi? Wsiądziesz mi na plecy, a ja, który jestem doskonałym pływakiem, zaniosę cię zdrowego i całego aż na sam brzeg.

— Łudzisz się, chłopcze! — odparł Dżepetto potrząsając głową i uśmiechając się smutnie.

— Wyobrażasz sobie, że pajac zaledwie na metr wysoki, tak jak ty, może mieć tyle siły, żeby płynąć mając na plecach taki ciężar?

— Spróbuj, a przekonasz się! W każdym razie, jeżeli napisane jest w niebie, że mamy umrzeć, to przynajmniej będziemy mieli tę wielką pociechę, że umrzemy razem, trzymając się w objęciach! — To rzekłszy, Pinokio wziął świecę i idąc naprzód, żeby oświetlić drogę, odezwał się do Dżepetta:

— Idź za mną, nie bój się niczego.

Zrobiwszy spory kawał drogi, przeszli przez całe cielsko i cały brzuch rekina. Ale kiedy stanęli w miejscu, gdzie zaczynała się ogromna gardziel potwora, uznali za stosowne zatrzymać się, rozejrzeć w sytuacji i czekać na sposobną chwilę.

Jednakże trzeba wiedzieć, że rekin, który był już bardzo stary i cierpiał na astmę i na palpitanie serca, musiał sypiać z otwartą gębą, toteż Pinokio, stanąwszy tam, gdzie się zaczynała gardziel, i spojrzawszy w górę, mógł przez tę olbrzymią rozwartą paszczę ujrzeć wcale duży kawałek gwiaździstego nieba i cudowne światło księżycy.

— To najlepsza chwila do ucieczki — szepnął pajac odwracając się do ojca. — Rekin śpi jak zabity, morze jest spokojne i jasno jest jak w dzień! Idź za mną, tatusiu, a za chwilę będziemy już bezpieczni.

Po tych słowach poszli w górę przez gardziel morskiego potwora i, doszedłszy do jego olbrzymiej paszczy, zaczęli posuwać się na końcach palców wzdłuż języka; a jęzor ten był tak długi i szeroki jak aleja ogrodowa.

I już mieli skoczyć i rzucić się w morze, gdy właśnie w najlepszym momencie rekin kichnął, i to tak potężnie, że Pinokio wraz z Dżepettem zostali gwałtownie odrzuceni w głąb brzucha potwora. Kiedy spadali, zgasła im świeca i obaj znaleźli się w ciemności.

— A teraz? — zapytał Pinokio poważnym tonem.

— Teraz, mój chłopcze, jesteśmy zgubieni z kretesem.

— Dlaczego zgubieni? Podaj mi rękę, tatusiu, i uważaj żeby się nie pośliznąć!...

— Dokąd mnie prowadzisz?

— Musimy jeszcze raz spróbować ucieczki. Chodź ze mną, tatusiu, i nie bój się niczego.

To powiedziawszy, Pinokio ujął Dżepetta za rękę i, idąc ciągle na końcach palców, wyszli razem w górę po gardzieli potwora, potem przebiegli przez język i przekroczyli trzy rzędy zębów. Ale zanim skoczyli w morze, pajac odezwał się do ojca:

— Siadaj mi okrakiem na plecach, tatusiu, i trzymaj się mnie mocno, mocno. Reszta to moja sprawa.

Gdy tylko Dżepetto umieścił się wygodnie na barkach synka, Pinokio, pewny siebie, rzucił się w wodę i zaczął płynąć. Morze było spokojne jak oliwa, księżyc świecił całym blaskiem, a rekin ciągle spał tak twardo, że nawet wystrzał armatni nie zdołałby go obudzić.

XXXVI

Pinokio w końcu przestaje być pajacem i zmienia się w chłopca

Kiedy Pinokio płynął szybko, żeby dobić do brzegu, spostrzegł, że jego tatuś, który mu siedział na plecach, a nogi miał zanurzone do połowy w wodzie, trzęsie się cały jak gdyby w napadzie febry-trzęsiączki.

Trząś się z zimna czy ze strachu? Kto tam wie? Może trochę z zimna, a trochę ze strachu. Ale Pinokio, myśląc, że to drżenie pochodzi ze strachu, odezwał się na pocieszenie:

— Odwagi, tatusiu! Za kilka minut staniemy na lądzie i będziemy ocaleni.

— A gdzie ten upragniony brzeg? — zapytał staruszek niepokojąc się coraz bardziej i wyteżając wzrok, jak to czynią krawcy przy nawlekaniu igły. — Przecież rozglądam się na wszystkie strony i widzę tylko niebo i morze.

— Ale ja widzę również i brzeg — odparł pajac. — Trzeba ci wiedzieć, tatusiu, że jestem jak kot: w nocy widzę lepiej niż w dzień.

Biedny Pinokio udawał tylko, że jest w dobrym humorze, a tymczasem... Tymczasem zaczynał tracić odwagę; siły go opuszczały, oddech stawał się coraz cięższy. Słowem, nie mógł już dłużej płynąć, a brzeg był ciągle daleko. Płynął, dopóki mu stało sił, potem odwrócił się do Dżepetta i rzekł urywanym głosem:

— Tatusiu, ratuj mnie... bo umieram! Ojciec i syn już mieli pójść na dno, kiedy usłyszeli jakiś głos przypominający rozstrojoną gitarę. Głos ten zapytał ich:

— Któż to umiera?

— To ja i mój biedny tatuś!...

— Poznaję ten głos! To Pinokio!...

— Tak jest, a ty?

— Jestem Tuńczyk, twój towarzysz z więzienia w cielsku rekina.

— A w jaki sposób uciekłeś?

— Poszedłem za twoim przykładem. Tyś mi wskazał drogę, którą uciekłem zaraz po tobie.

— Tuńczyku kochany, przybywasz w samą porę! Zaklinam cię na miłość do małych Tuńczyków, twoich dzieci, pomóż nam, bo zginiemy!

— Bardzo chętnie i z całego serca. Uczepcie się obaj mojego ogona i płońcie za mną. W cztery minuty doniosę was do brzegu.

Oczywiście, Dżepetto i Pinokio od razu przyjęli zaproszenie, ale uważali, że zamiast uczepić się ogona, wygodniej będzie usiąść wprost na grzbiecie Tuńczyka.

— Czy bardzo jesteśmy ciężcy? — zapytał Pinokio.

— Ciężcy? Ani trochę, zdaje mi się, że mam na grzbiecie dwie muszelki — odpowiedział Tuńczyk, który był tak duży i silny jak dwuletnie ciele.

Dopłynąwszy do brzegu, Pinokio skoczył pierwszy, żeby pomóc zejść ojcu na ląd, po czym zwracając się do Tuńczyka, rzekł wzruszonym głosem:

— Przyjacielu drogi, uratowałeś życie memu ojcu! Nie mam słów, żeby ci podziękować tak jak należy! Pozwól zatem, że cię ucałuję na znak wieczystej wdzięczności.

Tuńczyk wychylił z wody swój pysk, a Pinokio, zgiąwszy kolana aż do ziemi, złożył mu na ustach serdeczny pocałunek.

Tuńczyk nie był przyzwyczajony do tego rodzaju czułości, toteż taki dowód bezpośredniego i gorącego uczucia bardzo go wzruszył, ale wstydząc się rozplakać jak dziecko, zanurzył głowę w wodę i znikł.

Tymczasem nastał dzień.

Wówczas Pinokio odezwał się podając ramię Dżepettowi, który ledwie się trzymał na nogach:

— Tatusiu kochany, wesprzyj się na moim ramieniu i chodźmy. Pójdziemy sobie powolutku jak mrówki, a kiedy! będziemy zmęczeni, to odpoczniemy po drodze.

— A dokąd mamy pójść? — zapytał Dżepetto.

— Na poszukiwanie jakiegoś domu albo chatki, gdzie był nam dali z litości kawałek chleba i trochę słomy, na której moglibyśmy się położyć.

Nie uszli jeszcze stu kroków, kiedy ujrzeli siedzących na skraju drogi dwóch żebraków o wielce szpetnych pyskach. Był to Kot i Lis, ale tak zmienieni, że trudno ich było poznać. Wyobraźcie sobie, że Kot, udając ciągle ślepego, w końcu oślepnął naprawdę, a podstarzały Lis, stoczony przez robactwo i cały pokaleczony, nie miał już nawet ogona. Tak to bywa. Ten nędzny frant, wpadłszy w najskrajniejszą nędzę, musiał pewnego pięknego dnia sprzedać swój wspaniały ogon wędrownemu handlarzowi, który miał używać go do odpędzania much.

— O Pinokio — zaskomlał Lis — zlituj się nad nami, biednymi kalekami!

— Kalekami! — powtórzył Kot.

— Żegnajcie, obłudnicy! — odrzekł pajac. — Już raz oszukaliście mnie, ale teraz nie złapiecie już więcej.

— Wierzaj, Pinokio, że dziś jesteśmy biedni i naprawdę nieszczęśliwi!

— Naprawdę! — powtórzył Kot.

— Jeżeli jesteście biedni, to zasłużyliście na to. Przypomnijcie sobie przysłowie: „Kradzione nie tuczy”. Żegnajcie, obłudnicy!

— Ulituj się nad nami!...

— Nad nami!...

— Żegnajcie, obłudnicy! Przypomnijcie sobie przysłowie, które mówi: „Ze złej mąki nie będzie chleba”.

— Nie opuszczaj nas!...

— Nas!... — powtórzył Kot.

— Żegnajcie, obłudnicy! Przypomnijcie sobie przysłowie, które mówi: „Kto kradnie płaszcz bliźniego, sam umiera bez koszuli!”

To powiedziawszy Pinokio i Dżepetto ruszyli spokojnie w drogę, a kiedy uszli ze sto kroków, ujrzeni przy dróżce pośród pól ładną chałupkę, całą ze słomy, a z dachem krytym dachówką.

— W tej chałupce na pewno ktoś mieszka — rzekł Pinokio. — Chodźmy tam i zapukajmy.

Poszli więc i zapukali do drzwi.

— Kto tam? — zapytał jakiś głosik.

— Biedny ojciec wraz z biednym synem. Jesteśmy bez chleba i bez dachu nad głową — odrzekł pajac.

— Przekręćcie klucz, a drzwi się otworzą — odezwał się ten sam głosik.

Pinokio przekręcił klucz i drzwi się otworzyły. Gdy weszli, popatrzyli tu i tam, ale nikogo nie ujrzeni.

— A gdzież gospodarz tej chatki? — zapytał Pinokio ze zdziwieniem.

— Tu na górze!

Ojciec i syn zwrócili oczy na sufit i ujrzeni na poprzecznej belce siedzącego Świerszcza Gadającego.

— Och, mój Świerszczyku kochany! — rzekł Pinokio pozdrawiając go uprzejmie.

— Teraz mnie nazywasz „kochanym” Świerszczykiem, prawda? Ale czy pamiętasz, kiedy to, chcąc wypędzić mnie z domu, uderzyłeś mnie drewnianym młotkiem?...

— Masz słuszość, Świerszczyku! Wyrzuć także i mnie... uderz i mnie drewnianym młotkiem, ale zlituj się nad moim biednym tatusiem.

— Zlituję się nad ojcem, a także i nad synem, ale chciałem ci przypomnieć, jak brzydko zachowałeś się wobec mnie, chciałem pouczyć cię, że na tym świecie trzeba być uprzejmym dla wszystkich, jeżeli pragniemy, aby i nam w chwilach potrzeby odpłacono taką samą uprzejmością.

— Masz rację, Świerszczyku, masz świętą rację, a ja dobrze sobie zapamiętam tę lekcję. Ale powiedz mi, jakim sposobem udało ci się kupić tę ładną chałupkę?

— Tę chałupkę podarowała mi wczoraj miłutka kózka, której wełna miała śliczny niebieski odcień.

— A dokąd poszła ta kózka?

— Tego nie wiem.

— A kiedy wróci?

— Nie powróci nigdy. Wczoraj odeszła bardzo przygnębiona, a becząc zdawała się mówić: „Biedny Pinokio!... Teraz już nigdy go nie ujrzę... Rekin na pewno go już pożarł!...”

— Tak powiedziała?... A więc to była ona!... To ona była!... To była moja kochana Wróżka!

— krzyknął Pinokio zalewając się łzami.

Kiedy się już wypłakał, otarł oczy i, przygotowawszy wygodne posłanie ze słomy, ułożył na nim starego Dżepetta. Potem zapytał Gadającego Świerszcza:

— Powiedz mi, Świerszczyku, gdzie mógłbym dostać garnuszek mleka dla mojego biednego tatusia?

— O trzy pola stąd mieszka ogrodnik Dżandzo, który hoduje warzywa i ma krowy. Idź do niego, tam dostaniesz mleka.

Pinokio puścił się pędem do domu Dżandza, ale ogrodnik powiedział mu:

— Ile chcesz mleka?

— Pełny garnuszek.

— Garnuszek mleka kosztuje solda. Najpierw zapłać solda.
— Kiedy nie mam ani złamanego szeląga — odparł Pinokio zmartwiony i upokorzony.
— To źle, mój pajacu — rzekł ogrodnik. — Jeżeli nie masz ani złamanego szeląga, ja nie mam ani kropli mleka.
— Co robić? — westchnął Pinokio zabierając się do odejścia.
— Zaczekaj chwilkę — odezwał się Dżandzo. — Może się. jakoś ułożymy. Umiesz kręcić kołowrót?
— Co to jest kołowrót?
— To jest ten drewniany przyrząd do czerpania ze studni wody, którą się podlewa warzywa.
— Spróbuję...
— A więc wyciągnij mi sto wiader wody, a ja dam ci za to garnuszek mleka.
— Zgoda.

Dżandzo zaprowadził pajaca do ogrodu warzywnego i pouczył go, jak ma kręcić kołowrót. Pinokio od razu zabrał się do pracy, ale zanim jeszcze wyciągnął sto wiader, już cały ociekał potem od góry do dołu. Nigdy jeszcze nie dokonał takiego wysiłku.

— Dotychczas całą tę pracę kręcenia kołowrotem — rzekł ogrodnik — wykonywał mój osiołek, ale dzisiaj biedny kłapouch kończy żywot.
— Czy można go zobaczyć? — zapytał Pinokio.
— Ależ tak.

Zaledwie Pinokio wszedł do stajni, ujrzał leżącego na słomie pięknego osiołka, wyczerpanego głodem i nadmierną pracą. Przyjrzawszy mu się dokładniej, powiedział do siebie z przestachem:

— Przecież ja znam tego osiołka! Na pewno gdzieś go spotkałem! — I pochylając się nad nim, zapytał go w oślej gwarze: — Kim jesteś?

Na to pytanie osiołek otworzył gasnące oczy i wybełkotał w tej samej gwarze:

— Je-stem Knot... — Potem zamknął oczy i wyzionął ducha.

— Och! Biedny Knocie! — szepnął Pinokio i, wzięwszy garstkę słomy, otarł łzę, która mu spływała po twarzy.

— Tak się wzruszasz z powodu tego osła, na którego nie wydałeś ani grosza? — zapytał ogrodnik. — Cóż ja dopiero powinienem zrobić, ja, który zapłaciłem za niego gotówką?

— Kiedy... to był mój przyjaciel!...

— Twój przyjaciel?

— Mój kolega szkolny!...

— Jak to?! — wrzasnął Dżandzo wybuchając głośnym śmiechem. — Jak to?... Chodziłeś do szkoły z osłami?.. To musiała być ładna nauka!...

Pajac, urażony słowami ogrodnika, nie odpowiedział wcale, tylko zabrał garnuszek z ciepłym jeszcze mlekiem i wrócił do chałupki.

Od tego czasu przez pięć miesięcy wstawał codziennie o świcie i szedł kręcić kołowrót, żeby w ten sposób zarobić na garnuszek mleka, które podtrzymywało wątłe siły Dżepetta. I nie poprzestawał na tym, ale w wolnych chwilach nauczył się wyplatać z łyka kosze i koszyczki, a zarobione pieniądze przeznaczał na codzienne wydatki. Wśród innych rzeczy sklecił sobie zgrabny wózek, w którym w piękne dni zabierał swojego tatusia na przejażdżkę dla zaczerpnięcia świeżego powietrza. Wieczorami ćwiczył się w czytaniu i pisaniu. Kupił w pobliskim miasteczku za parę groszy wielką księgę, której brakowało karty tytułowej i spisu rzeczy, i ta księga stanowiła jego lekturę. Do pisania używał ździebełka przyciętego w pióro, które — w braku kałamarza i atramentu — maczał we flaszczyce napełnionej sokiem z morwy i z wiśni.

Dość że dobrą wolą, sprytem i pracowitością nie tylko zdołał zapewnić wygodne życie swemu ojcu, który ciągle niedomagał, ale potrafił ponadto uskładać sobie czterdzieści soldów na nowe ubranie.

Pewnego ranka powiedział do ojca:

— Biegnę tu niedaleko na jarmark, żeby kupić sobie surducik, czapeczkę i parę butów. Kiedy wrócę do domu — dodał ze śmiechem — będę tak pięknie ubrany, że mnie weźmiesz za wielkiego pana.

I wyszedłszy z domu, zaczął biec wesoły i zadowolony. Nagle usłyszał, że go ktoś woła po imieniu, a odwróciwszy się ujrzał pięknego ślimaka, który właśnie wypełził spod płotu.

— Nie poznajesz mnie? — zapytał Ślimak.

— Zdaje mi się, że tak, ale nie jestem pewny.

— Nie przypominasz sobie Ślimaka, który był kamerdynerem u Wróżki o błękitnych włosach? Nie przypominasz sobie, jak to szedłem na dół, żeby ci otworzyć, a ty utkwieś z nogą w drzwiach?

— Pamiętam wszystko! — zawołał Pinokio. — Powiedz mi zaraz, piękny Ślimaczku, gdzie jest teraz moja dobra Wróżka? Co robi? Czy mi przebaczyła? Czy pamięta o mnie? Czy kocha mnie ciągle? Czy przebywa daleko stąd? Czy mógłbym pójść do niej?

Na te wszystkie pytania, wyrzucone pospiesznie i jednym tchem, Ślimak odpowiedział ze zwykłą sobie flegmą:

— Mój Pinokio! Biedna Wróżka leży w łóżku, w szpitalu!...

— W szpitalu?...

— Niestety! Dotknięta mnóstwem nieszczęść, zachorowała ciężko i teraz nie ma za co kupić sobie kawałka chleba.

— Doprawdy?... Och! Sprawieś mi wielki ból! Och! Biedna Wróżka! Biedna moja Wróżka! Biedna moja Wróżka!... Gdybym miał milion, zaraz bym pobiegł, żeby jej go ofiarować. Ale mam tylko czterdzieści soldów... oto są... szedłem właśnie, żeby sobie kupić nowe ubranie. Weź je, Ślimaczku, i zanieś je natychmiast mojej dobrej Wróżce.

— A twoje nowe ubranie?

— Cóż mi zależy na nowym ubraniu? Sprzedałbym nawet te łachmany, które mam na sobie, żeby jej tylko pomóc! Idź, Ślimaczku, i spiesz się. Wróc za dwa, trzy dni, gdyż mam nadzieję, że będę mógł dać ci jeszcze parę soldów. Dotychczas pracowałem, żeby utrzymać mojego tatusia, od dziś będę pracował o pięć godzin dłużej, żeby utrzymać także i moją kochaną mamusię. Do widzenia, Ślimaczku, przyjdź za dwa dni!

Ślimak, wbrew swoim zwyczajom, zaczął sunąć zwinnie jak jaszczurka podczas wielkich upałów sierpniowych.

Kiedy Pinokio wrócił do domu, tatuś zapytał go:

— A gdzież to nowe ubranie?

— Nie mogłem znaleźć takiego, które by dobrze na mnie leżało! Trudno!... Kupię je innym razem.

Tej nocy Pinokio zamiast pracować do dziesiątej pracował do samej północy i zamiast ośmiu koszyczków z łyka zrobił szesnaście. Potem położył się i zasnął. A we śnie ujrzał Wróżkę piękną i uśmiechniętą, która ucałowała go, rzekła: „Dzielny z ciebie chłopiec! W nagrodę za twoje dobre serce wybaczam ci wszystkie twoje wybryki, jakie popełniłeś aż do dnia dzisiejszego. Chłopcy, którzy z takim oddaniem wspierają swoich rodziców w nędzy i pielęgnują ich w chorobach, zawsze zasługują na wielką pochwałę i na wielką miłość, nawet jeżeli nie mogą uchodzić za wzór posłuszeństwa i dobrego zachowania. W przyszłości kieruj się rozsądkiem, a będziesz szczęśliwy". W tym momencie sen się skończył i Pinokio obudził się z szeroko otwartymi oczami.

A teraz wyobraźcie sobie jego zdziwienie, kiedy obudziwszy się spostrzegł, że już nie był drewnianym pajacem, ale chłopcem, takim jak wszyscy inni. Spojrzał dookoła i zamiast słomianych ścian chałupki zobaczył śliczny pokój umeblowany i przystrojony z wykwinną prostotą. Gdy wyskoczył z łóżka, znalazł przygotowane nowe ubranko, nową czapeczkę i parę trzewiczków skórzanych, które leżały mu na nogach jak ulał.

Gdy tylko ubrał się, sięgnął oczywiście ręką do kieszeni i wyjął małą portmonetkę z kości słoniowej, na której wyryte były następujące słowa:

**WRÓŻKA O BŁĘKITNYCH WŁOSACH
ZWRACA PINOKIOWI CZTERDZIEŚCI SOLDÓW
I DZIĘKUJE MU Z CAŁEGO SERCA**

Otworzywszy portmonetkę, zamiast czterdziestu miedzianych soldów, znalazł w niej czterdzieści nowiutkich, błyszczących dukatów. Potem poszedł przejrzeć się w lustrze, ale wydało mu się, że jest kimś innym. Zamiast zwykłego drewnianego pajaca ujrzał w lustrze wesołego i inteligentnego chłopczyka o włosach kasztanowatych, błękitnych oczach i z uśmiechniętą, rumianą i świeżą jak kwiat twarzą.

Wśród tych wszystkich cudów, które działy się koło niego, Pinokio nie wiedział już, czy to jawa, czy też ciągle śni z otwartymi oczami.

— A gdzie jest mój tatuś?! — krzyknął nagle i wszedłszy do drugiego pokoju zastał starego Dżepetta zdrowego, rzeźkiego i wesołego jak niegdyś. Dżepetto powrócił do snycerstwa, dawnego swojego rzemiosła, i właśnie zamierzał wyrzeźbić piękną ramę zdobioną w liście, kwiaty i główki rozmaitych zwierzątek.

— Powiedz mi jedno, tatusiu, czym wytłumaczyć tę nagłą zmianę? — zapytał Pinokio rzucając mu się na szyję i obsypując go pocałunkami.

— Ta nagła zmiana w naszym domu to tylko twoja zasługa.

— Dlaczego moja zasługa?

— Dlatego że kiedy niegrzeczni chłopcy stają się dobrymi, wówczas dana im jest moc, która sprawia, że nie tylko oni sami, ale nawet wnętrza ich domów przybierają nowy i uśmiechnięty wygląd.

— A gdzie się podział ten dawny drewniany Pinokio?

— Oto on — odparł Dżepetto wskazując dużego pajaca opartego o krzesło.

Pajac ten miał głowę przechyloną w bok, ręce zwisające bezwładnie, nogi skrzyżowane i zgięte w kolanach, tak że wydawało się niemożliwością, aby mógł stanąć prosto.

Pinokio odwrócił się, żeby spojrzeć na niego, a kiedy go obejrzał, powiedział sobie w duchu z ogromnym zadowoleniem:

„Śmieszny byłem jako pajac! Ale teraz jestem bardzo zadowolony, że stałem się porządnym chłopcem!”...

